Nr 4 (1514). Warszawa, 22 stycznia 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ogólniki.

Nieszczęśliwe warunki polityczne kraju naszego w ciągu ostatnich lat 50 sprawiły nietylko zewnętrzne, ale, co ważniejsza, wewnętrzne spustoszenia w nas samych.

Niechętnie się do tego przyznajemy, często nawet zamykamy oczy rozmyślnie, aby nie widzieć tej nagiej prawdy, a jednak powinniśmy, musimy nawet dla swego zdrowia moralnego i społecznego przyjrzeć się śladom, które ucisk polityczny pozostawił na naszej organizacji duchowej.

Niejeden zapewne z oburzeniem odrzuci myśl, że to, co mówi, stanowi bezpośrednie i dosłowne tłómaczenie na język polski tego, czego nauczyli go w języku urzędowym jego nienawistni nauczyciele, a jednak często oburzenie byłoby niestety niesłusznym.

Ale nie o to chodzi mi tym razem.

Ucisk wpłynął rozkładowo na naszą metodę myślenia jeszcze w innym kierunku. Usunięci od wszelkiego wpływu i udziału w życiu państwowym, zamknięci w ciasnych ramach stosunków społecznych i zawodów wyzwolonych, nietylko przestaliśmy zajmować się najżywotniejszymi sprawami naszego życia, nietylko zatraciliśmy znajomość rzeczy i rutyny w dziedzinie polityczno-administracyjnej, ale wytworzyliśmy w sobie pewien brak poczucia odpowiedzialności za swoje słowa.

Przez wiele lat cenzura, zakaz przemówień publicznych zamykały nam usta lub uczyły ukrywania istotnych myśli.

Przyzwyczailiśmy się do rzucania ogólników, licząc na domyślność słuchaczów lub czytelników, że przeczytają w naszych słowach zamierzone znaczenie.

Czasami, rzeczywiście tak się zdarzało, częściej wprost przeciwnie; ale z tej potrzeby wynieśliśmy przedewszystkim przyzwyczajenie do ogólników, a stąd do zatraty poczucia odpowiedzialności za własne słowa.

Skoro w najważniejszych sprawach rezultat nie był od nas zależnym, skoro myślom naszym w większości wypadków nie było sądzonym zrealizować się w czynie, znaczenie tego, co się mówiło w sferze społeczno-politycznej było niewielkie, a raczej żadne. Mniejsza lub większa ścisłość nie stanowiła różnicy. A już wdawać się w szczegóły jakiejś sprawy, starać się nadać jej kierunek praktyczny było tak bezowocnym, że się tego przeważnie nie robiło.

Ot, powtarzano przez całe lata te same ogólniki, aż się zupełnie utarły i przychodziły same na język.

Zle czy dobrze zastosowany ogólnik taki — nie miał żadnego znaczenia ani skutków, żadnej też nie pociągał za sobą odpowiedzialności. W krótkich chwilach swobody, kiedy otwarcie mówić można było, następstwa tego odbiły się bardzo boleśnie i na wielu osobach, i grupach społecznych.

Ale zwyczaj, nabyty w najnieszczęśliwszym okresie naszej historji, trwa dalej, chociaż warunki się zmieniły.

W literaturze politycznej ostatniej nawet doby, w licznych broszurach, roztrząsających położenie naszego kraju w całości lub w części, spotykamy się z taką masą twierdzeń niedowiedzionych, słów, rzuconych na wiatr, i ogólników, powstałych po okresie poprzednim, że literatura ta jest raczej szkodliwą, niż pożyteczną, utrwala bowiem fatalne skutki wiekowego ucisku.

Nieraz mieliśmy sposobność stwierdzić to na łamach *Prawdy* przy ocenie pojedyńczych wydawnictw.

Dziś uwagi te, jako sprawę bardzo doniosłą nasuwa nam artykuł p. Zygmunta Balickiego p. t. „Prze-

politykowanie", ogłoszony w *Przeglądzie narodowym*. Wywody p. B., będące w związku z wydrukowanym w poprzednim numerze *Prawdy* artykułem wstępnym, p. t. „Polityka a kultura" stanowią doskonałą ilustrację uwag powyższych.

Nie przytaczamy tutaj treści tego artykułu, bo nie o niego nam chodzi. Treść jego jest wprost przeciwna naszym poglądom. Ciekawy czytelnik, który przeczytać pracę p. B. zechce, przekona się, jak można napisać artykuł na 10 stronicach, dużej ósemki, poruszyć najżywotniejszą kwestję, zrobić społeczeństwu mnóstwo zarzutów i nie przytoczyć *absolutnie* ani jednego faktu na poparcie swych twierdzeń, albo choćby dla wyjaśnienia zdań, bardzo mętnych i pod względem stylu, i pod względem treści.

Tak się pisało za czasów nieodpowiedzialności za własne słowa.

Dziś czasy się zmieniły.

I dlatego uważaliśmy za konieczne zwrócić uwagę na tą pozostałość ostatniej połowy stulecia, aby postawić sobie, jako zasadę: strzec się ogólników.

Legienda o dobrodziejstwach pruskich.

Nie należy się wcale dziwić, że p. Jan Popiel wybrał właśnie obecną chwilę dla sławienia dobrodziejstw rządu pruskiego. Cóż to szkodzi, że w tym samym czasie cała poczytalna prasa niemiecka, nie wyłączając *Berl. Tageblattu*, piętnuje hańbę, jaką się okrył rząd pruski przez ukaranie urzędników katowickich za głosowanie przeciw woli zwierzchności? Cóż to szkodzi, że nauczyciel szkół ludowych gruby, sękaty kij, którym tłucze dzieci, nazwał „Polakiem", symbolizując w nim swą polityczną misję, że lud Zachodnich Prus i Górnego Śląska w kościele gorszy się skandalicznie łamaną polszczyzną kaznodziei, wychowańca zniemczonego seminarjum, lub miewa ciężkie skrupuły sumienia po spowiedzi u księdza,który po polsku grzechów nie rozumie. Ani ustawa językowa,ani ustawa o wywłaszczeniu — jak tysiąc innych dawniejszych, łagodnych czy ostrych środków systematycznej giermanizacji, nie zrazi i nie odstraszy wiernych czcicieli pikielhauby, którzy u nas we wszelkich warunkach byli i pewno nigdy nie wyginą.

Jaką zaś jest podstawa psychologiczna tych nieodwzajemnionych afektów, to ilustruje dawny bardzo ale charakterystyczny fakcik: Pewien szlagon z pogranicza Królestwa Polskiego do późnej starości wspominał mile czas spędzony w niewoli pruskiej po przejściu granicy w 1831 r. „Bo to — panie dzieje—człowiek zmęczony, zgłodzony, ledwie żywy — a tu panie u Niemców pod miękką pierzyną się wyspał i gorąca kawa co rano. Niemasz to — jak pruska niewola!"

Amatorowie ciepłej pierzyny i gorącej kawy istotnie w niewoli pruskiej rozmnożyli się w liczne zastępy. Oto całkiem świeża, przed paru laty zaledwie tocząca się w wielkopolskich kołach rozmowa: „Żeby tak Niemcy Królestwo zabrali, byłoby nas w każdym razie więcej; łatwiej byłoby się bronić przed giermanizacją!" „Coby to było dobrego? Przybyłoby tylko tych zapalonych głów i nie byłoby spokoju. A nam czy to tu źle? Zboże coraz lepiej płaci, ziemia coraz droższa, dobrobyt jest, a tam bieda. I zboże by staniało i ziemia spadłaby w cenie. Niech tam już lepiej zostanie po staremu".

Wszystko co mówi p. Popiel o dobrodziejstwach pruskich, leży na tej samej płaszczyźnie co i powyższe rozumowanie.

Wielkopolanin nie jest nerwowy — to się p. Popielowi bardzo podoba i wdzięczny jest rządowi pruskiemu, który w nim tę zaletę wyrobił i — wyzyskał. Istotnie od 48 roku nerwy Polaków pod zaborem pruskim ani razu nie wyszły z równowagi, a i wtedy pewne podniecenie przeszło na nich raczej z Zachodniej Europy via Berlin. Jedyne dobrodziejstwo, jakim do tej pory w pewnej (już ograniczonej) mierze się cieszą, ustrój konstytucyjny, zawdzięczają owemu wszecheuropejskiemu paroksyzmowi zdenerwowania. Zasłużeni ludzie, których autor miał szczęście znać w młodych latach, reprezentowali na gruncie wielkopolskim prądy — dziś już wygasłe, pozostali w swej ściślejszej ojczyźnie bezpotomni a ich dzieła, stworzone przez nich instytucje, zmieniły w znacznej części swój charakter i znaczenie. Jedne z nich jak Tow. Przyjaciół nauk im. Mielżyńskich straciło dawną żywotność i zmunifikowało się. Niema tam bowiem już ani polskiej nauki, ani polskich „przyjaciół nauk". Bibljoteka Raczyńskich przestała być instytucją polską.

---

15)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

Syn mój, nieświadomy psycholog, obserwował na mej twarzy wyrazy smutku lub spokoju, milczał, gdy widział mnie przygnębioną, ściągał brewki, gdy spostrzegał nieporozumienia między swym ojcem a mną... Byłam dla niego wyobrażeniem wszystkiego co było najlepsze śród ludzi, byłam dlań najmądrzejszą, najlepszą z istot; nawet rzadkie chwile gniewu, które wyrzucałam sobie, a które płynęły z ciągłego niezrównoważenia ducha i ciała, nie budziły w jego duszyczce żalu do mnie. Mówił sobie zawsze, że mama jego *miała słuszność* i prawie zawsze przepraszał mnie, drżąc na widok mego cierpienia. Biedny synek mój, biedne ubóstwiane dziecko! W ciągu dwuch lat dzieciństwo jego były rzeczywiście promienne, miał więcej sił do życia, niż zazwyczaj dziecko posiadać może. Czy była to tajemnicza siła przygotowująca go do walki i obrony? Dwa lata! Jak przywołać w pamięci ten szczególny okres? Chodziłam, prowadząc dziecko za rękę, wzdłuż podobnych do siebie, opustoszałych ulic wysadzanych kwitnącą tarniną, olśniewających na wiosnę świeżością, pełnych kurzu latem; zdaleka wynurzał się łańcuch wzgórz; na niektórych ukazywały się miasteczka, wywołując wspomnienia średniowiecza swymi koronkowymi murami, swymi ciemnymi domkami, stłoczonymi u stóp wysmukłej dzwonnicy.

Wieś i morze chwilami oślepiały blaskiem, chwilami pokrywały się jakby popiołem; w niektóre dni panowała dziwnie słodka cisza, w inne zdawało się, że każda kropla morza, każde źdźbło trawy mówiło o swym życiu szmerem powietrza pełnego dźwięków.

Krajobraz ten był mi znany od lat tylu! Jak w czasie dzieciństwa tak i teraz nie badałam tego co rozpościerało się przed mymi oczyma, nie szukałam tajemnicy wzruszającej mnie harmonji, dającej mi wra-

Szkoła polsko-pruska, o której p. Popiel mówi, jest już tylko wspomnieniem lat dziecinnych dla siwych staruszków. Zniknęła ona doszczętnie z powierzchni ziemi wielkopolskiej w tej właśnie epoce, kiedy nerwy Polaków z zaboru pruskiego doszły do zupełnej równowagi, której nawet całkowite usunięcie nauki języka polskiego ze szkół, a w końcu wykładu polskiego z lekcji religji nie naruszyło i zmąciło.

Panu Popielowi — jeśli istotnie dokładnie zna stosunki poznańskie — musi być dobrze wiadomo, że absolutny lojalizm Polaków, ich wstręt do samej wzmianki o ruchach powstańczych, ich manifestacyjna odraza do prądów przewrotowych nie ulegająca najmniejszej wątpliwości, wcale nie przeszkadzają rządowi pruskiemu straszyć Niemców niebezpieczeństwem polskim i postrachem tym motywować jak najbardziej barbarzyńskie antypolskie środki. Im więcej Polacy odrzekają się marzeń o Polsce „od morza do morza", tym skwapliwiej wmawiają im to hasło urzędnicy pruscy, wcale się nie krępując uroczystymi zaprzeczeniami Polaków, że o niczym podobnie karygodnym nigdy jako żywo nie myśleli, ani też własnym wewnętrznym przekonaniem, że straszak agitacji wielkopolskiej jest przez nich samych z palca wyssaną bajeczką.

Wytwarza się stąd położenie polityczne sto razy niebezpieczniejsze niż walka o nierównych siłach. Świadome i bezkarne znęcanie się przemocy nad słabym, który im więcej manifestuje swą bezsilność, tym bardziej rozzuchwala pewnego swej bezkarności przeciwnika. Nie Niemcy lecz Polacy boją się wskrzeszania przebrzmiałych haseł narodowych, a ten strach, obniżając idejowe tendencje zarazem obezwładnia ich praktyczną działalność, przynosząc w rezultacie i moralne i realne straty — naturalnie w dziedzinie narodowej.

Z gruntu fałszywym jest bowiem twierdzenie, że „Sami postawili tak gruntownie fundament i ściany gmachu współczesnego, że na tym gmachu narodowość nasza ma swoją ostoję". *Ostoja* naszej narodowości w państwie pruskim wygląda tak jak wóz Drzymały. W tym historycznym wozie, który entuzjazmował nas i stał się podnietą dumy narodowej — należy obok symbolu odporności chłopskiej widzieć raczej symbol naszego poniżenia i bezsilności, zredukowania całego narodu do roli jakiegoś cygańskiego, koczowniczego plemienia. Wyrywają mu grunt z pod nóg i dach z nad głowy, a gdy się do wędrownej budy schroni, to mu bronią okien, ogniska do warzenia strawy, w końcu za uparte chwytanie się możności istnienia zapędzają do kozy. Gdzie p. Popiel widzi ostoję narodowości?

Język polski doszczętnie usunięty ze szkoły, kaleczony w kościele i ustępujący tam coraz więcej miejsca natrętnej niemczyźnie, w znacznej części usunięty z zebrań publicznych chroni się do domowego zacisza i tam nawet nie panuje bezpodzielnie, boć troskliwi rodzice chroniąc dzieci od prześladowań szkolnych zawczasu przy pomocy Niemek do konwersacji niemieckiej je zaprawiają.

„Mówmy w domu tylko po polsku, czytajmy polskie książki!" — oto jakie formy przybierała, jakie hasła głosiła ta groźna agitacja wielkopolska, którą pan Kenneman straszy pana Hansemana a pan Hanseman pana Tiedemana.

Ani słowa — pruska administracja jest wyborna, drogi i ulice wygodne — ale na nich same niemieckie napisy, poczty znakomite—ale listy z polskimi adresami nie dochodzą wcale, gdyż odsyłają je do biura tłumaczeń, koleje nie pozostawiają nic do życzenia, tylko nie umiejący po niemiecku ani biletu kupić, ani z konduktorem, ani z tragarzem rozmówić się nie może, bo jeden po polsku nia rozumie. drugiemu po polsku mówić nie wolno. Ze wszystkich dobrodziejstw „niewoli pruskiej" nie pozostaje więc nic innego prócz „miękkiej pierzyny i gorącej kawy". Innymi słowy: „ksiądz zamożny dzięki dochodom, bo mu nic rząd nie zabrał" — a nawet dodać może w razie lojalnego zachowania się, boć dla polskich djecezji uchwalono warunkowe dodatki do pensji; „silne życie katolickie" mimo wypędzania zakonów, bo „zamożny ksiądz" wychowany w zniemczonym katolickim seminarjum wszystkich mocno za łeb trzyma, a stąd „zgoda i harmonja społeczna", boć nikomu nie wolno mieć innego zdania niż zdanie kapituły, a we wszystkich instytucjach—począwszy od Tow. przyjaciół nauk do związków robotniczych — ster dzierży duchowieństwo; społeczeństwo świeckie pogrążone we wzniosłym zadaniu gromadzenia marek i talarów, co mu hakatyści poniekąd ułatwili przez wyśrubowanie ceł na zboże i topienie miljonów skarbowych w zagrożonych przez agitację wielkopolską prowincjach i — wszystko byłoby jaknajlepiej na tym najlepszym ze światów, gdyby nie „niepotrzebne po dziennikach krzyki" — jak skarży się p. Jan Popiel. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby pruscy poddani, dotąd mówiący po polsku, zaprzestali tej lekkomyślnej igraszki i zaczęli mówić po niemiecku.

żenie wypoczynku i potęgi. Poddawałam się tajemniczemu a prostemu urokowi, i bezgraniczna wdzięczność budziła się w mej duszy. Oto szły ku mnie najgłębsze przejawy życia ziemi, przychodziły nareszcie w pełni, wyobrażając płacz i śmiech, miłość i śmierć. Nie było zapóźno.

Moja przeszłość wydawała mi się teraz jakgdyby nakreśloną przez wolę nielitościwie mądrą. Czyż istotnie wszystko com przeżyła nie przygotowywało mej przyszłości?

Jednak przyszłość nie rysowała się wyraźnie przedemną.

Wysiłki me nie miały żadnego zdecydowanego kierunku. Czym pragnęłam stać się?

Dziennikarką?... Nie: zaczynałam odczuwać bezwartościowość tego rozpraszania się niedokształconych idei. Artystką? Nie śmiałam nawet marzyć o tym. Mój brak kultury, brak wyobraźni, moje niepojmowanie piękna wydawały mi się przeszkodą zasadniczą. Książka, *moja książka*... Och, nie marzyłam nawet o napisaniu jej, nie! Cierpiałam jednak, myśląc o tej książce, którą uważałam za konieczną, o tej książce miłości i cierpienia, która winna była być rozdzierającą i litościwą, którąby pokazała duszę kobiety współczesnej po raz pierwszy i którąby po raz pierwszy wstrząsnęła wyrzutem i pragnieniem odmiany duszę mężczyzny — smutnego brata...

Książka, którąby wypowiedziała wszystkie ideje, kłębiące się chaotycznie w mym umyśle od lat dwuch. Czy ją napiszę? Czy jest na świecie druga kobieta, którąby przecierpiała to co ja?

XIV.

Pewnego popołudnia mąż mój wrócił niespodzianie do domu, z twarzą zmienioną, brzydką, jak zwykle w chwilach, kiedy budziła się w jego duszy wściekłość. Posprzeczał się z ojcem i wyszedł z biura, oświadczając, że więcej do niego nie powróci.

Owiało mnie wspomnienie lat dawno minionych, dnia, w którym ojciec rzucił swe zajęcie w Medjolanie. Jak był spokojny, zadowolony, że znajdował się wobec nieznanej przyszłości, wolny! Ja czułam się teraz równie spokojną, prawie szczęśliwą, podczas gdy mąż mój nie ukrywał swego żalu, nie że obraził ojca swej żony, człowieka, któremu zawdzięczał wszystko, lecz że stracił swe stanowisko.

Sprawa była nie do naprawienia — ojciec nie

Spokój nerwów zaprowadził ich już bardzo daleko; jeszcze troszeczkę krew ochłodziwszy można zajść dalej.

„Pamiętajmy — pisze p. Popiel—że Poznańskie przez lat 60 na to pracowało, by się stać takim, jakim jest".

Tak, pamiętajmy o tym; poznajmy dokładnie dzieje tych lat 60-ciu, zbadajmy ściśle opłakane położenie tej *ostoi narodowej*, jaką nam stworzył rząd pruski dzięki rozsądkowi obywateli ziemskich i duchowieństwa, co autor z naciskiem zaznaczył; — pracujmy inaczej, by nie stać się tym, czym jest Poznańskie. Chyba że cenimy miękką pierzynę nadewszystko.

I. Moszczeńska.

Sprawa Banku parcelacyjnego we Lwowie.

Prasa polska zaalarmowana została niepomyślnym stanem Banku parcelacyjnego we Lwowie. Narodowa demokracja wyzyskała zachwianie się tej instytucji finansowej w celach partyjnych, uważając ją za przynależność stronnictwa ludowego, z którym prowadzi zaciętą walkę. Okoliczność ta tłomaczy namiętny ton prasy wszechpolskiej w sprawie tego Banku.

Chcąc wyrobić sobie sąd bezstronny, należy rozważyć dokładnie warunki działalności wspomnianej instytucji w ciągu krótkiego jej istnienia.

Bank parcelacyjny rozpoczął działalność swoją na szerszą skalę przed laty niespełna dziesięciu. Powstał jako instytucja bezpartyjna, mająca wyłącznie na celu parcelację. Z początku personel Banku był bardzo nieliczny a operacje małe, po kilku jednak latach ruch parcelacyjny wzmógł się i młoda instytucja zdawała się rokować świetną przyszłość.

Inicjatorami Banku byli ludowcy i ludzie z nimi zbliżeni, między założycielami znajdowali się jednak demokraci. Dyr. Deskur był nerwem całej instytucji.

Kiedy Bank parcelacyjny zaczął się szybko rozwijać, narodowi demokraci postanowili go zagarnąć w swe ręce, jak to zrobili z innymi instytucjami. Aby upozorować swą akcję, zaczęli dowodzić, że jest instytucją antynarodową, gdyż niekiedy przeprowadzał parcelację także i rusińskim chłopom. Równocześnie zaczęli masowo zapisywać się na członków Banku parcelacyjnego.

Walka ugodowców z narodowymi demokratami w łonie Banku była bardzo ostra w roku 1903 i 1904; skończyła się zwycięstwem ludowców i usunięciem narodowych demokratów z tej instytucji. Zagrożeni ludowcy musieli we własnej obronie usunąć wszechpolaków. Od roku 1905 instytucja ta znalazła się w rękach ludowców, ale nie stronnictwa ludowego. Ludowcy zajęli w niej najwybitniejsze stanowiska.

Stronnictwo jednak, jako całość, nie było wcale związane z Bankiem.

Walka stronnictw w jego łonie wpływała ujemnie na wzrost udziałów, gdyż ludowcy obawiając się, żeby instytucja nie dostała się w ręce wrogie, często nie przyjmowali udziałów od osób, które podejrzywali o dążność do intryg politycznych. Kilka takich wypadków wywołało polemikę w prasie.

Do końca roku 1907 Bank parcelacyjny rozwijał się bardzo pomyślnie i wykazywał znaczne zyski. Włościanie i nie włościanie z pełnym zaufaniem lokowali swe oszczędności w młodej, zapowiadającej piękną przyszłość instytucji. Obecnie wkładki te przewyższają 2,000,000 koron, podczas gdy udziały wynoszą tylko około 140,000 koron.

Od roku 1908 następuje w sytuacji Banku zwrot niepomyślny. Kryzys gospodarczy w Stanach Zjednoczonych Amer. P. w 1909 roku spowodował osłabnięcie emigracji zarobkowej z Galicji i zmniejszył znacznie dochody włościan polskich za oceanem. Okoliczność ta miała doniosłe znaczenie, gdyż operacje parcelacyjne przedsiębrane były przez Bank wyłącznie prawie dla włościan, którzy dorabiali się na emigracji. Bardzo często chłopi galicyjscy, wyjeżdżając do Ameryki, zadatkowali Bankowi ziemię, którą nabywali.

Bank parcelacyjny pomimo szybkiego rozwoju nie rozporządzał nigdy znacznym własnym kapitałem. Nie jest Tow. Akcyjnym z dużym kapitałem zakładowym, lecz Tow. Udziałowym. Kredytu długoterminowego z natury rzeczy nie mógł dostawać na dogodnych warunkach, operował więc przeważnie drogim, krótkoterminowym kredytem wekslowym, który w tych warunkach jest zawsze niebezpieczny. Taki kredyt wekslowy jest chwiejny i zależny od mnóstwa okoliczności przelotnych, często nieuchwytnych, czasami nawet od kaprysów ludzi stojących na czele instytucji kredytowych.

---

przebaczyłby z pewnością. Jego pozorna obojętność dla dzieci zamieniała się w złość coraz bardziej gorzką, gotową wybuchnąć. Był to może wpływ kobiety, z którą spędzał cały czas wolny od zajęć fabrycznych, lub być może sądził, że czujemy się pokrzywdzonymi tym, że hojnie szafował pieniędzmi na jej rodzinę. W rzeczywistości nie śmiałam jeszcze sądzić go, mówiłam sobie, że musiał cierpieć głęboko nad tym, że pozwolił oddalić się sercom swych dzieci od siebie; czułam, że nie oddalił się jeszcze dostatecznie od swej przeszłości, od swego zapału umysłowego i uczuciowego, by nie tęsknił za nią. Nieraz, gdy w swym ogrodzie, mówiąc o mych artykułach, rozpoczynał dysputę, przypominałam sobie lata dzieciństwa i jego zajmujące lekcje śród kwiatów i traw. Patrzał na mnie swymi małymi oczyma o metalicznych błyskach i zdawał się pytać, czy nie widzę w nim teraz jeszcze czegoś wyższego, niż wszystko to, co znałam — i niepokój, przestrach niewypowiedziany dławiły me gardło. Jakież niezbadane, tajemnicze ostrzeżenie — życie tego człowieka!

Gdy mąż mój przekonał się, że ani z własnego popędu, ani ulegając jego prośbom, ojciec nie wzywał go, rozpacz go opanowała. Najwidoczniej nie przypuszczał nigdy możliwości podobnej katastrofy.

Znalazłam się więc na zakręcie drogi. Kwestja egzystencji naszej nie trwożyła mnie; od dziecka przyzwyczajona byłam sądzić, że człowiek o silnej woli zawsze będzie miał z czego żyć, i że żadna praca nie hańbi. Projekt opuszczenia miasteczka nie przychodził jednak na myśl memu mężowi; nie miał ani dyplomów ani pieniędzy, i nie był już młodym; mimo zwykłej pewności siebie drżał na myśl o przyszłości. Czułam, że zbliża się chwila mego wyzwolenia z nieznośnego mi środowiska. Skończy się to milczące zezwalanie na eksploatację robotników przez mego ojca, które mąż mój popierał, a które wyrzucałam sobie od pewnego czasu. Zdawało mi się teraz, że zaczynam odzyskiwać szlachetność; oddychałam swobodniej. Szczególniej o przyszłość małego byłam spokojniejszą.

Daleko stąd! Mógłby zapomnieć o tym miejscu, tak tragicznym dla jego matki; o miejscu, gdzie tyle złych przykładów przeczyło mym słowom!

Pewnego dnia okazałam radość mą przyjacielowi doktorowi. Spojrzał na mnie i umilkł. Wobec tego milczenia żal ścisnął mi serce.

Bank parcelacyjny miał wielu nieprzyjaciół. Zwalczali go stale narodowi demokraci. Zarzucano mu, nie bez słuszności może, że operacje parcelacyjne prowadzi w sposób bardzo kosztowny, dla włościan bardzo uciążliwy. Dziwiono się jego szybkiemu wzrostowi, upatrując w tym objawy niezdrowe. W prasie odzywały się głosy ostrzegające.

Wszystko to działało niekorzystnie na interesy Banku. Na tym jednak nie koniec: przed kilku laty narodowi demokraci utworzyli Bank Ziemski w Łańcucie, który zaczął robić konkurencję Bankowi parcelacyjnemu, co miało bardzo złe skutki. Kierownicy tej instytucji, obawiając się, żeby Bank Ziemski nie ubiegł ich w parcelowaniu majątków, przepłacili w kilku wypadkach znacznie kupione majątki. Spekulanci różnego rodzaju odegrali tu poważną rolę, niekiedy wprowadzali świadomie w błąd dyrekcję rozsiewaniem fałszywych wieści o mających się uskutecznić kupnach majątków przez Bank Ziemski w Łańcucie.

Niekorzystny stan interesów Banku w 1908 r. nie uwidocznił się jeszcze w bilansie, gdyż instytucja żyła rozpędem z lat poprzednich. Dopiero rok 1909 podkopał ją silnie. Sytuacja stawała się coraz gorsza.

Sprawozdanie lustracyjne związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych ze stanu interesów Banku parcelacyjnego za rok 1908 było już bardzo pesymistyczne. Przeszło jednak bez wrażenia na Radzie Nadzorczej, gdyż zawierało kilku grubych błędów, sprostowanych przez Dyrekcję. Dopiero w końcu ubiegłego roku stało się rzeczą widoczną, że instytucja się nie utrzyma o ile nie uzyska znacznego kapitału własnego, albo wysokiego i dogodnego kredytu. Najpoważniejsze instytucje kredytowe zajęły się tą sprawą, utworzyły konsorcjum i udzieliły Bankowi 100,000 kor. zasiłku.

Osoby prywatne mające w nim udziały zadeklarowały 40,000 kor. na fundusz gwarancyjny. Wreszcie, wedle ostatnich pogłosek, rząd za inicjatywą posła Stapińskiego ma udzielić Bankowi jeszcze 150,000 koron. Sumy te jednak nie są wystarczające do uratowania go.

Instytucje finansowe, które przyszły z pomocą Bankowi parcelacyjnemu, badają obecnie szczegółowo jego stan interesów, żeby się przekonać, czy mogą bez obawy strat przeprowadzić jego likwidację.

W każdym więc razie Bank parcelacyjny będzie zwinięty. Chodzi tylko o to, czy nastąpi to przez likwidację, czy też przez ogłoszenie konkursu. Przy likwidacji wszystkie zobowiązania Banku byłyby pokryte, weksle i wkładki byłyby wypłacone jak należy, jedynie udziały członków mogłyby przepaść. Inaczej przy konkursie. Wówczas Bank poniósłby ogromne straty, właściciele wkładek, przeważnie włościanie, straciliby swe oszczędności, albo w całości, albo w znacznej części, zobowiązania wekslowe nie mogłyby być zupełnie pokryte. Konkurs pociąga za sobą ogromne koszty.

W jaki sposób Bank parcelacyjny będzie rozwiązany, zależy od tego, czy instytucje finansowe, które się zajęły jego losem, uznają likwidację za możliwą. Przy likwidacji Bank parcelacyjny doprowadziłby do końca rozpoczęte operację, bez pośpiechu, w warunkach znośnych.

Według wiadomości z poważnych kół finansowych, bliższe wejrzenie instytucji opiekuńczych w interesy Banku parcelacyjnego wypadło dla niego korzystnie. Żadnych nadużyć nie wykryto, a posiadane przez Bank majątki mogą być podobno korzystnie dla niego rozparcelowane. Według wszelkiego więc prawdopodobieństwa, opiekuńcze instytucje finansowe umożliwią likwidację Banku parcelacyjnego. Sprawa ta rozstrzygnie się ostatecznie w ciągu bieżącego miesiąca.

Należy oczekiwać, że z tych samych powodów co Bank parcelacyjny nie utrzymają się i inne towarzystwa udziałowe, zajmujące się parcelacją w Galicji, jak: Bank Ziemski w Łańcucie, Bank parcelacyjny w Kopyczyńcach i Tow. ochrony ziemi w Krakowie.

Udział Żydów w życiu przemysłowym Litwy i Białej Rusi.

Przemysł na Litwie i Białej Rusi znajduje się dopiero w zalążku. Świadczy już o tym nieznaczny odsetek ludności miejskiej, dochodzący... zaledwie 12 proc. ogółu. Przemysł ten rozwija się nierównomiernie.

Są olbrzymie połacie kraju, nie posiadające wcale fabryk. Do najbardziej uprzemysłowionych zakątków kraju należą Białystok i powiat Białostocki, Wilno, Kowno, Brześć Litewski, Dźwińsk, Mińsk, Pińsk, Bobrujsk. Białystok jest najbardziej przemysłowym

---

Zdawał się być zmęczonym, zniechęconym. W miasteczku panował tyfus, i on od rana do wieczora chodził zgarbiony z jednego poddasza na drugie; głos jego zamglony smutkiem musiał dodawać nadziei chorym, musiał przynosić słowa pociechy umierającym, lub tym, którzy myśleli, że umierają. Odwiedzał mnie rzadko teraz.

Przez kilka tygodni żyliśmy w ciągłej niepewności. Mąż mój wstydził się szukać posady w innym mieście. Pozostała nam jedynie pensja miesięczna, wyznaczana mi przez ojca. Utrata posady mego męża pociągnęła za sobą zniesienie i mego zajęcia w biurze. W jaki sposób mogłabym przyczynić się do powiększenia naszych dochodów?

Pewnego ranka syn mój, przynosząc mi paczkę nadeszłych w tej chwili listów i gazet, wyciągnął z niej pewien przegląd i podał mi go przed wszystkimi innymi, ruchem osoby znającej moje gusta.

Był to rzeczywiście ulubiony mój przegląd medjolański. Redaktor, stary bojownik wolności, dał poznać światu już nie jeden młody talent, i mnie często namawiał, bym spróbowała pracy większej, ważniejszej niż przygodne, krótkie artykuły, które drukował pospiesznie.

Napisałam do niego, wyjawiając mu nowe położenie.

Po kilku dniach odpowiedział mi, że w Medjolanie nie mógł nic zrobić dla mnie, lecz, że napisał do Rzymu, do pewnego wydawcy, który właśnie teraz założył pismo feministyczne.

Po paru dniach otrzymałam list od powieściopisarki, która pisała do mnie kilka miesięcy temu. Żałowała bardzo, że nie otrzymałam jej listu, w którym zawiadamiała mnie o wakującej posadzie redaktorki, dziś już zajętej. Jednakże mogła zapewnić mi inne zajęcie w piśmie, wymagające mej stałej obecności w Rzymie, lecz nie koniecznie w redakcji. Jednocześnie otrzymałam pierwsze numery *Mulier'a.*

Wygląd pisma tego był sympatyczny, lecz wydał mi się błahym, co zasmuciło mnie niezmiernie. Niektóre miejsca programu były zresztą znakomite:

„Trzeba nareszcie pozwolić kobiecie powiedzieć coś samej o sobie. Mężczyźni piszą albo panegiryki na jej cześć, albo ją potępiają bezwzględnie. Jedni, o wybitnych umysłach i głębokich duszach, mają mimowolną antypatję do niej, bo kobieta, dziś jeszcze mało inteligientna, ani ich szuka ani podziwia; inni sądzą, że znają kobietę, bo mają wiele doświadczenia

miastem na całym obszarze Litwy i Białej Rusi. W r. 1907 liczono w tym mieście 334 fabryk i zakładów przemysłowych, zatrudniających przeszło 5,800 robotników. Wartość produkcji wynosiła według danych urzędowych 4,327,050 rubli.

Żydzi biorą w życiu przemysłowym Litwy i Białej Rusi stosunkowo znacznie większy udział, niż reszta ludności.

Według cyfr, zebranych przez komisję sjonistyczną żydowską z r. 1897 na ogólną liczbę 2,749 fabryk było żydowskich 1,402 czyli 51 proc. W najbardziej zaś uprzemysłowionej guberni Grodzieńskiej na ogólną liczbę 843 fabryk żydowskich było 575, czyli 68,2 proc... W okręgu Białostockim znaczna ilość robotników chrześcijan włada żargonem i skonstatowano nawet, że niektórzy z nich posługują się żargonem stale w domu w stosunkach rodzinnych.

Wartość produkcji wszystkich fabryk litewsko-białoruskich wynosi 62,918 tysięcy rubli, Wartość produkcji fabryk żydowskich 29,962 czyli 47,6 proc.

Z ogólnej zaś liczby robotników 51,659 przypada na fabryki żydowskie 30,165 czyli 58 proc.

W guberni Wileńskiej, gdzie wartość produkcji fabryk żydowskich wynosi 60 proc., w fabrykach żydowskich pracuje 58,9 proc. wszystkich robotników tej guberni. Odpowiednie cyfry dla gub. Grodzieńskiej wynoszą 52 proc. i 64,6 proc.

Gubernie Witebska i Mohylowska, najuboższe pod względem kultury i posiadające tylko te gałęzie przemysłu, które są ściśle związane z gospodarstwem rolnym i leśnictwem, posiadają najmniej fabryk żydowskich — 39,4 proc. i 38,6 proc. i wykazują najniższy odsetek produkcji żydowskiej — 34 proc. i 32 proc. W dwuch tych guberniach ludność żydowska liczebnie jest najsłabiej reprezentowana z całej dzielnicy.

Muszę zaznaczyć, że cyfry wartości produkcji rocznej guberni litewsko-białoruskich budzą pewne wątpliwości. Wysokość produkcji wpływa na opodatkowanie wyższe lub niższe, i zwykle fabrykanci wykazują cyfry dla siebie najkorzystniejsze. Stosuje się to zwłaszcza do drobnych żydowskich fabryk, w których księgi handlowe nie są prowadzone.

Fabryki żydowskie zatrudniają, jak wspomniałem, 58 proc. robotników fabrycznych. Odsetek ten rozkłada się dość równomiernie na całym obszarze Litwy i Białej Rusi — z wyjątkiem gub. Kowieńskiej, gdzie jest znacznie niższym. Wpływa na to istnienie w tej guberni kilku dużych zakładów metalurgicznych, pozostających w ręku Niemców.

Podług tych samych źródeł z ogólnej liczby robotników fabrycznych 51,659 Żydów jest 22,279 — czyli 43,1 proc.

W trzech guberniach robotnicy Żydzi stanowią przeszło połowę ogólnej liczby robotników, — a mianowicie: w Grodzieńskiej 56,3 proc., Witebskiej 51,9 proc. i Mińskiej 53,3 proc. W Wileńskiej i Kowieńskidj $^1/_3$, a w Mohylowskiej zaledwie $^1/_6$ ogółu robotników.

Wśród robotników Żydów mężczyźni stanowią 57,6 proc , kobiety 27 proc., chłopcy 6,8 proc., dziewczęta 8,6 proc. Znaczny odsetek pracujących kobiet i dzieci wskazuje, że norma płacy jest niższą od *existenz - minimum* i że proletarjusze — rodzice, sztucznie stłoczeni w granicach strefy osiedlenia zmuszeni są zaprzęgać swą rodzinę do pracy.

Żydzi pracują przeważnie w małych fabrykach swych współwyznawców.

Wielkie fabryki rzadko się posługują robotnikami Żydami, gdyż albo musiałyby obsadzić wszystkie miejsca w fabryce Żydami, albo przy mieszanym żydowsko - chrześcijańskim kontyngiensie robotników święcić dwa dni w tygodniu — co jest ekonomicznie niemożliwe. Wyjątek stanowi okręg Białostocki, gdzie Żydzi pracują w wielkich fabrykach.

Znaczny udział biorą Żydzi w rękodzielnictwie i rzemiosłach na Litwie i Białej Rusi. Tu wśród mas żydowskich bujnie się rozwinął najstraszniejszy gatunek wyzysku — chałupnictwo (*Sweating system.*) Ilość rzemieślników Żydów wciąż rośnie, i niektóre gałęzie są niemal przez nich zmonopolizowane.

Na Litwie i Białej Rusi widoczny jest znaczny przerost sił rzemieślniczych w stosunku do istniejącego zapotrzebowania. W Wilnie przypada jeden rzemieślnik Żyd na 20 głów, w Kownie na 16, a w Białymstoku jeden na 15 głów ogółu ludności. Potworne wprost cyfry — nic też dziwnego, że przy takim współzawodnictwie muszą istnieć głodowe zarobki, często nie przewyższające dwuch rubli, a nawet rubla tygodniowo. Ciekawych odsyłam do książki: „Sbornik materjałow ob ekonomiczeskom położenji jewrejew w Rossii", malujących cyfrowo obrazy nędzy żydowskiej.

Z rzemiosł Żydzi najmocniej skupili się w krawiectwie, w różnych gałęziach przemysłu konfekcyjnego, szewstwie i kamasznictwie.

Na 100 rzemieślników Żydów w guberniach Wi-

---

i wiele ofiar na sumieniu; jednak ci nie mieli czasu poznać choćby jednej, wiedzą tylko jak opanować zmysły większości i w jaki sposób wyssać z nich jaknajwięcej rozkoszy.

W rzeczywistości *kobieta* jest to coś, co istnieje tylko w fantazji mężczyzny; są — *kobiety*: oto wszystko."

Artykuł niepodpisany wyszedł napewno z pod pióra znakomitej powieściopisarki, która nie stworzyła jeszcze rzeczywiście indywidualnych typów kobiet, lecz która być może potrafiła odmalować niektóre typy, godne uwagi.

Kończyła:

„Nie obiecujemy o wiele więcej niż to, coście dotychczas widzieli. Nie żądajcie zbyt wiele. Ideału kobiety nie znajdziecie tu, jak nie znaleźliście go w życiu. Lecz chcemy go wyprowadzić z chmur *Utopji* i stawić przed oczy kobiet dzisiejszych".

Coprawda o tym ideale mało mówiono w przeglądzie. Zapełniały go: artykuł o sztuce, sylwetka artystki w różnych pozach, portrety wydekoltowanych księżnych, wzmianki o sporcie, balach dobroczynnych, porady z hygjeny. Jedynie rubryka zagraniczna była działem pisma, w którym mówiło się o feminizmie.

Bez zapału opowiedziałam mężowi o otrzymanej propozycji.

Przejrzał uważnie wszystkie numery przeglądu, poczym długo zastanawiał się. Nie obawiał się barwy przeglądu, bardzo umiarkowanego, lecz sądził, że będziemy zbyt skrępowani w tym światowym środowisku. Uspokoił się, gdy powiedziałam mu, że mogę pracować w domu, odosobniona. Czym mógłby zająć się w Rzymie? Po długich rozmyślaniach wpadł na pomysł, który zdawał mu się bardzo łatwym do wykonania: udał się do niektórych fabrykantów z miasteczka i okolicy z propozycją przedstawicielstwa ich wyrobów w Rzymie i zagranicą. Zgodziło się wielu. Duży kapitał nie był potrzebny; na początek zaledwie kilka tysięcy. Matka, jęcząc, przyrzekła mu je dostarczyć.

W przeddzień naszej decyzji doktór położył się do łóżka. Widzieliśmy wszyscy, jak był wyczerpanym, przypuszczaliśmy, że jest to kryzys, być może zbawienny, i nikt nie trwożył się tym. Cierpiałam wtedy jedynie z braku jego rady.

Czułam, że poza siostrami tylko z jego powodu cierpiałabym, opuszczając miasteczko.

W tydzień później umarł.

leńskiej, Kowieńskiej i Grodzieńskiej pracuje w rękodzielnictwie konfekcyjnym 38,17, szewckim 17,22, przygotowania materjałów spożywczych 14,42, drzewnych i snycerstwie 10,24, budowlanym, malarskim 8,68, metalurgicznym 5,51, przędzalniczym 4,83, jubilerskim rzeźbiarskim przygotowywaniem przyrządów fizycznych 3,03, zecerskim i wyrobów kartonowych 1,92, chemicznym 0,98.

Na 100 rzemieślników Żydów w guberniach Witebskiej, Mińskiej, Mohylowskiej pracuje w rękodzielnictwie konfekcyjnym 34,47, szewckim 18,82, drzewnym i snycerskim 11,89, przygotowania materjałów spożywczych 11,22, budowlanym i malarskim 7,69, metalurgicznym 6,25, jubilerskim, rzeźbiarskim 3,89, przędzalniczym 2,86, zecerskim i wyrobów kartonowych 2,18, chemicznym 0,73.

Wskutek wadliwości zestawienia danych, zebranych podczas spisu jednodniowego z r. 1897 niepodobna, w wielu gałęziach określić stosunku procentowego rzemieślników żydów i chrześcijan. Dla niektórych jednak fachów dane takie istnieją.

W dziale przygotowania odzieży, który obejmuje następujące fachy: męska i damska konfekcja, modniarstwo i kapelusznictwo, rękawicznictwo, wyrób krawatów, pasków, gorsetów i t. p. szewctwo, szycie bielizny, wyrób parasoli, wachlarzy i kwiaciarstwo sztuczne, na 106,306 rzemieślników mamy Żydów 84,969 czyli 79,8 proc.

Jak widzimy, fachy te są prawie zmonopolizowane przez Żydów, a wobec znacznej przewagi podaży sił roboczych nad zapotrzebowaniem panuje w nich straszliwa nędza, a co za tym idzie, duży wyzysk ze strony pracodawców. Panującą formą pracy jest chałupnictwo, przy którym za niską płacę można wyssać wszystkie soki żywotne z pracownika — przedłużając dzień roboczy do 16 — 18 godzin.

Nic dziwnego, że przy tak anormalnych warunkach pracy szerzy się ta nieudolność i tandeta. To jednak powinno być złożone na karb wyżej wymienionych przyczyn i nie może być uważane, jak to nieraz czyniono, za osobliwą skłonność rzemieślników żydowskich do partactwa.

Rzemieślników Żydów wszelkich fachów liczą do 179,509.

Tę hyperprodukcję podaży sił roboczych w rękodzielnictwie dałoby się jedynie usunąć przez zniesienie strefy osiedlenia.

Wtedy cząść przymierających głodem rzemieślników żydowskich rozproszyłaby się po ogromnych obszarach Cesarstwa.

Walka o byt z każdym rokiem zaostrza się na Litwie, zwłaszcza w gub. Kowieńskiej, gdzie obudzony ruch narodowy litewski wysunął hasło „Swoi u swoich". Nic też dziwnego że Żydzi nader wrogo zachowują się wobec ruchu narodowego-litewskiego, uważając go za klęskę narodową. To czyni z nich centralistów, z nieufnością i strachem patrzących na wszelkie objawy decentralizmu.

Decentralizm i usamodzielnienie warstw ludowych, tak polityczne jak i ekonomiczne są bardziej groźne dla mas żydowskich, niż objawy rasowej nienawiści. Te ostatnie są przechodzącymi burzami, nie pozostawiającymi trwalszych śladów po sobie, gdy pierwsze systematycznie wypierają Żydów z dawnych placówek. A że na Litwie rozpoczęła się taka na wpół świadoma dążność wśród włościan, to unaoczni następujący przykład. W gub. Kowieńskiej, w powiecie Wiłkomierskim, w miasteczku Troupie 10 — 15 lat temu było 8 sklepików żydowskich, karczma i dwie piwiarnie, utrzymywane przez Żydów; rzemieślnicy byli wyłącznie Żydzi. Dziś w tym samym miasteczku są dwa sklepy litewskie i ani jednego żydowskiego, dwie piwiarnie litewskie i jedna żydowska. Na 5 krawców i szwaczek jest 3 Litwinów. Z czterech szewców jeden Litwin. Taki sam stosunek panuje i w wielu innych osadach na Litwie i Żmudzi. W miastach powiatowych i większych miasteczkach stan posiadania Żydów nie uległ zmianie, — choć i tu powoli powstają sklepy litewskie i coraz częściej wśród rzemieślników można spotkać tu i owdzie Litwina

Na wsi — znika przysłowiony pachciarz Berek lub Mosiek. W ostatnich latach chłopi rzucili się do dzierżawienia ogrodów owocowych i tu z powodzeniem wypierają Żydów. I coraz większa nędza zagląda do izb żydowskich, — coraz częściej dają się słyszeć pomruki Żydów przeciw „chamom". I tłumnie emigruje rzesza żydowska za Ocean do Północnej Ameryki, Transwaalu i do Londynu, wreszcie do Królestwa Polskiego.

Piotr Zubowicz.

Tyfus nagły, gwałtowny powalił tego człowieka, którego śmierć zdawała się toczyć od dość dawna. W ciągu jednego dnia inteligiencja zgasła, i jedynie ciało walczyło przez dni kilka. Nikt wierzyć nie chciał rzeczywistości. Agonja trwała dzień jeden i jedną noc; przy wezgłowiu umierającego była matka, sześćdziesięcioletnia kobieta; srebrne włosy nadawały jej wyraz królewski, podczas gdy usta uśmiechały się dziecinnym naiwnym uśmiechem. Usposobienie miała niepowszednie: straciła już syna, dwudziestoletniego żołnierza, bez wytchnienia pielęgnowała męża, zagrożonego paraliżem postępowym, energicznie zarządzała zawikłanymi sprawami majątkowymi rozsypanej rodziny; kobieta ta była wyobrażeniem poświęcenia czynnego i prostego, podtrzymywana w walce z życiem silną wiarą w życie pozagrobowe.

Przypominam ją sobie w tę ostatnią noc mego przyjaciela: jedną ręką ocierała pot z pięknego, już trupio bladego czoła, drugą co parę chwil przysuwała do sztywniejących warg umierającego wizerunek Chrystusa. Tak bezwiednym i spokojnym był ten akt, że i nam cud zdawał się możliwym.

Rzężenie przedśmiertne rozpoczęło się, gdy wszedł ksiądz, by udzielić ostatnich namaszczeń. Chciałam pozostać podczas tej ceremonji przez wzgląd na biedną matkę, lecz po kilku chwilach musiałam zrezygnować. Moje *ja* buntowało się przeciw temu zwyczajowi, który teraz prawie nieobecny duch za życia odepchnąłby. Przeszłam do drugiego pokoju, gdzie był mąż mój, doktorzy, kilku przyjaciół umierającego. Dochodziły nas przyciszone głosy kobiet, chór niewyraźny, towarzyszący monotonnemu szeptowi księdza. Miałam wrażenie profanacji; poprosiłam męża, by odprowadził mnie do domu, bo nic już w tym miejscu nie zostało dla mnie z drogiej mi istoty.

Nad ranem dano nam znać, że umarł.

Mój mąż wstał i wyszedł natychmiast. Chciałam płakać, lecz nie mogłam; tajemnica, straszna i nieprzenikniona tajemnica *końca* przytłaczała mnie. Po godzinie dopiero może instynkt przezwyciężył: pomyślałam o stracie, jaka mnie dotknęła — i litość nad samą sobą i nad wszystkimi, którzy już nigdy nie usłyszą tego serdecznego głosu, wybuchła we mnie łzami rozpaczy.

(D. C. N.)

Dla siebie i dla szkoły.

Rozumiemy i czujemy wszyscy, jaką doniosłość ma dla narodu wychowanie najmłodszych jego pokoleń, ile w tym się kryje nadziei, obaw i marzeń.

Zagadnienie szkolnictwa należy do najważniejszych zagadnień społecznych, a rozwiązanie jego pomyślne uznać musimy za podstawę całej przyszłości, za grunt, od osłabienia którego zależy los całego zasiewu.

Jeśli nam się nie powiedzie w zupełności, to niechaj przynajmniej następcy nasi ujmą dzieło w silne, niestrudzone jeszcze ramiona i doprowadzą je do pożądanego końca. Oto myśl, która nas wielekroć krzepi i dźwiga. Ale na to potrzeba, ażeby ci młodzi, w oczach naszych gotujący się następni pracownicy, już od początku czuli głęboką łączność z całością społeczną i wielką powagę zadania, które ich czeka.

Któż o tym lepiej wiedzieć może, jak społeczeństwo, które właśnie tego dobrodziejstwa do niedawna jeszcze zupełnie było pozbawione?...

Szkoła była więzieniem, nauka w nich ciężką robotą. Atmosfera, przesycona niewolą i przymusem, musiała działać tylko przygnębiająco, musiała więzić myśl i inicjatywę prywatną, odstręczała od wolnej pracy społecznej, zamiast do niej zachęcać i przysposabiać.

Takie w nas budzą się wspomnienia i refleksje, kiedy przeglądamy wydawnictwo, zatytułowane: *Dla siebie i dla szkoły*. Jest to duży, niemal sześćset stron in folio obejmujący „Pamiętnik wydany staraniem pierwszych abiturjentów szkoły handlowej miejskiej w Kielcach".

Pierwszy to dowód tego, czym *może i winna stać się* dla nas *polska szkoła*. Pierwszy to społeczny objaw miłości, jaką młodzież nasza otacza szkołę *swoją*, szkołę, w której nauczyciele i uczniowie wspólny mają cel przed oczyma. Pierwsza to zapowiedź harmonji, jaką obie te — dotąd z natury rzeczy wrogie — sfery osiągnąć mogą przy dzisiejszych nawet, połowicznie zmienionych warunkach nauczania.

Oto znaczenie księgi i powód zarazem wdzięczności naszej dla młodych jej autorów.

Obejmuje ona przedewszystkim szczegółowe cyfry, świadczące o rozwoju szkoły. Założona z końcem r. 1903, zyskuje w r. 1905 prawo wykładu w jęz. polskim i odtąd rozszerza się stale, aż w r. 1908/9 objęła 530 uczniów. Utrzymywana przez obywatelstwo okoliczne i mieszczaństwo, dochodzi dzięki ich ofiarności do możliwości licznych uwolnień od wpisu, tak że obecnie niespełna połowa opłaca cały wpis, a 18% płaci mniej niż pół wpisu lub zgoła nic.

Cyfry te świadczą o sile, tkwiącej w obywatelsko usposobionej ludności, która na rzecz szkoły stałym obłożyła się podatkiem. Dziś szkoła mieści się w obszernym, wygodnie urządzonym budynku, na wzgórzu, z którego widok wybiega na góry Świętokrzyskie. W szkole opieka lekarska, bibljoteka, gabinety i laboratorja fizyczne i chemiczne.

W takich dopiero warunkach młodzież może pracować swobodnie i z korzyścią. W pamiętniku mamy tej pracy dowody liczne i bogate. Największą bowiem część jego zajmują referaty i utwory uczniów, ślady zajęć w rozlicznych kółkach, programy wieczorków artystyczno-literackich i t. p.

Nie idzie tu oczywiście o wartość naukową czy literacką tych prac. Młodzi autorzy sami zresztą zaznaczają brak wszelkich pretensji pod tym względem — i w ten sposób usuwają wątpliwość, czy to dobrze, że młodzień „drukuje" i t. d. Ale niezmiernie pouczającym jest rozejrzenie się w tym materjale, ażeby poznać, nie tylko (jak sami powiadają) „że młodzież czasu pozaszkolnego nie traci na marne", ale przedewszystkim, *czym się zajmuje, co ją obchodzi?*

Więc mamy objawy hołdu dla wielkiej poezji naszej („Wieczór trzech wieszczów"), adres „uwielbienie i wdzięczność" dla Elizy Orzeszkowej i serdeczną jej odpowiedź, referat zbiorowy o A. Świętochowskim, świadczący o szczególnym zajęciu się dziełami i przełomowym znaczeniu wybitnej tej postaci,—z dawniejszych jeszcze Staszic, Niemcewicz i Pol stawiani są za wzór życia obywatelskiego.

Nie zapomniała też młodzież o wyrazicielach współczesnej duszy polskiej: przemówienia i wiersze świadczą, jak głęboko odczuła zgon Wyspiańskiego, a praca p, t. „Aryman i Ormuzd" wskazuje żywą wiecznie w młodej piersi nadzieję zwycięstwa Dobra, w Żeromskiego „Walgierzu" znajdującą dla siebie karm i mocne słowo.

Z dziedziny społecznej walka z alkoholizmem wysuwa się na plan pierwszy, a jeden z utworów zdradza nam nawet odczucie tragicznej chwili poboru na Daleki Wschód. Zasadniczą jednak, doniosłą w dziedzinie tej wartość mają parokrotne, pod kierunkiem nauczycieli odbyte wycieczki do łódzkiego okręgu fabrycznego — silne powiązanie z żywym trudem społecznym.

Poza tym znać pracę — i to sumienną — we wszystkich innych gałęziach wiedzy. Są nawet objawy badań samodzielnych z zakresu archeologji, dokonanych w pow. Kieleckim. Dodajmy jeszcze nacisk, położony na wykształcenie estetyczne — a uzyskamy obraz ze wszech miar pocieszający, obraz życia bujnego, porywającego się na najtrudniejsze, zbrojącego się opatrznie na dalszą. uciążliwą drogę.

A nie sądźmy, że to tylko kilku najwybitniejszych nadało ton całemu pamiętnikowi i tak nas w pewien stan złudzenia wprowadza. Z trzydziestu, którzy szkołę ukończyli (a tyluż było w ostatniej klasie) 17 przedstawia nam się na liście autorów. To dowód, że — pominąwszy różnice indywidualne — był w tym gronie „zespół", była dodatnia atmosfera zbiorowej współ-pracy, silny węzeł, łączący wszystkich. Kto wie, jak u nas właśnie najtrudniej o trwałą solidarność, będzie umiał ocenić wartość tej harmonji, tego pięknego na przyszłość zadatku.

Za lat siedm, w r. 1916, abiturjenci postanowili zjechać się i udzielić sobie wzajemnie rezultatów siedmioletniej pracy. Zobaczymy, jak wytrwają, jak się rozwiną, w jakiej mierze urzeczywistnią silną zapowiedź, którą czytamy w pamiętniku, iż „usuną wszystkie zapory, przełamią wszystkie trudności i staną u szczytu"...

Zobaczymy — a życzyć tylko możemy najgoręcej, żeby tyluż, co dzisiaj śmiałych i nadziei pełnych abiturjentów, znalazło się na tym zjeździe dzielnych, niezgnębionych pracowników społecznych!

Powie kto może — za wiele optymizmu, lub może nawet — za wiele hałasu...

Tak, u nas sceptyków nie brak! Wystygliśmy już tak okropnie, że tam, gdzie ogień płonie i skry się sypią czerwone, wielu z nas jeszcze rozetrzeć nie może rąk, z zimna zdrętwiałych...

Niechże z tego ogniska, które nam szczera pierś młodzieńcza rozetliła, choć blask rumiany padnie na ich twarze. W was, tak w was samych leży rękojmia przyszłego losu tych młodych! Nie studźmy, nie dmuchajmy — a sami w sobie płomień roznoećmy. Wówczas niejeden z dojrzewającego pokolenia, w momencie, w którymby mógł zagasnąć, od nas zaczerpnie ognia i rozpłonie na nowo.

Podkreślę jeszcze, co raz już wyżej nawiasowo wspomniałem. Wiemy chyba dobrze, jak wszystko dziś i w tej dziedzinie szkolnictwa *połowiczne* jest jeszcze i ile pozostaje do — *wywalczenia*. Chwila, w której widzimy świeży zastęp wychodzących na plac bojowników, najwięcej winna nam dać bodźca do uprzytomnienia sobie, czego jeszcze potrzeba na to, byśmy

corocznie święcić mogli *święto powiększania się szeregów walczących*...

I to jest jeszcze jedno, co ów pamiętnik szkoły kieleckiej wynosi poza obręb zwykłego faktu szkolnego...

Andrzej Baumfeld.

Wystawa etnograficzna.

W czerwcu roku bieżącego Lwów zamierzył urządzić u siebie wystawę etnograficzną. Byłaby to pierwsza u nas próba stworzenia możliwie najpełniejszego obrazu bytu naszego ludu wiejskiego ze wszystkimi jego właściwościami i poszczególnymi odrębnościami, próba, która miała dać początek trwałej i bardzo nam potrzebnej instytucji — muzeum etnograficznemu. Ale ponieważ materjału gotowego do tego pokazu posiadamy bardzo niewiele, gdyż ani w muzea, ani w zbiory prywatne kraj nasz nie jest zasobny, przeto wszystko prawie trzeba zgromadzić. Byłaby to zaiste niezależnie od czasu oraz innych trudności praca nielada i dalibyśmy dowody wielkiej energji, gdybyśmy jej podołali. Bywa jednak tak z nami, o czym świadczy choćby wystawa Częstochowska, że jakieś tytaniczne zadanie nagłej potrzeby prędzej podejmiemy i lepiej wykonamy, niż dzieło wymagające cierpliwej systematyczności i wytrwania. Można było więc wierzyć, że wystawa lwowska, pomimo blizkiego terminu i braku przygotowania do niej, wykaże raz jeszcze niepożyte zasoby sił, drzemiących w naszym społeczeństwie i czekających tylko dotknięcia różdżki czarodziejskiej, ażeby się zbudzić do czynu. Tymczasem *Kur. Lwowski* przynosi wiadomości alarmujące: projekt urządzenia wystawy w roku bieżącym może rozbić się o nieprzezwyciężone trudności—brak środków. Rada miasta Lwowa, do której komitet wystawy zwrócił się o subwencję, nic dotąd nie uczyniła. A komitet zastrzega sobie najmniej sześć miesięcy czasu dla poczynienia przygotowań. Miejmy jednak nadzieję, że wyjdzie szczęśliwie z wiru, w jaki się dostał skutkiem opieszałości Rady miejskiej i swoje zadanie doprowadzi do skutku.

Rolę gospodarza w sprawie wystawy na Król. Polskie wzięło na siebie Tow. Krajozn. Ono pośredniczyć ma w dostawieniu komitetowi wystawy wszystkiego co nam się zebrać uda; ono poręcza zwrot i całość każdego przedmiotu. Wskazówek, co zbierać i jak zbierać, dostarcza wydany przez komitet kwestjonarjusz, opracowany niegdyś przez Oskara Kolberga i Adrjana Baranieckiego. Zbiory dla łatwiejszego orjentowania się w ich gromadzeniu, grupuje kwestjonarjusz w sześciu działach następujących: 1) osada wiejska i mieszkania, 2) narzędzia i sprzęty, używane w życiu codziennym oraz służące do wszelkiej pracy, 3) żywność i napoje, 4) odzież i obuwie, 5) przedmioty, należące do obrzędów i zwyczajów ludowych, 6) przedmioty, odnoszące się do sztuki i umiejętności ludowej.

Przewidywana jest z góry niemożność skompletowania wszystkich działów; lecz z każdej okolicy, czy powiatu nietrudno chyba będzie dostać po kilka a wreszcie choćby po jednym przedmiocie z każdego, najcharakterystyczniejszym dla danej okolicy. Należy też przypuszczać, że w ten sposób zbierane okazy, gdy nie na ich ilość, lecz na rozmaitość i dobór przedewszystkim zwrócona będzie uwaga, stworzą całość godną wystawy.

Może się zdarzyć, że łyżek np. lub solniczek będzie najwięcej, ale żeby wszyscy dostawcy tylko łyżki lub solniczki przysłać mieli, tego się chyba obawiać nie potrzeba. W najgorszym razie dałoby to możność złożenia pełnej kolekcji jednego przedmiotu.

Wieś, osada, mieszkanie, typowa chata włościańska, zagroda rolna ze wszystkimi do niej należącymi zabudowaniami, ogrodem, studnią, szkoła, dwór, plebania, kościół, cmentarz, karczma, las, rzeczka — wszystkie szczegóły danej miejscowości, wszystko co się składa na jej obraz zewnętrzny ma być przedstawione na planie lub w bardzo wiernie odrobionych modelach z masy papierowej, zarówno też narzędzia pracy i sprzęty domowe — tych zaś modele odrobione z tego samego o ile możności materjału, co rzeczywiście używane i z podaniem wielkości naturalnej. Dużo odrębności przedstawia odzież i pokarmy oraz napoje naszego ludu; sposób przyrządzania nawet tych samych w wielu stronach bywa odmienny a tym ciekawszy, że z dawien dawna z pokolenia na pokolenie przechowywany. Obecnie ze wzrostem kultury, z przesiąkającą coraz głębiej w masy ludowe oświatą, przyjdzie stopniowy zanik tradycyjnej odzieży, tradycyjnych pokarmów, tradycyjnego trybu życia — więc bardzo na czasię pomyślano o wystawie mającej zgrupować te śmiercią zagrożone szczegóły innego bytu.

BADANIA NAUKOWE.

Zapomniana karta w dziejach umysłowości polskiej.

(Dokończenie).

Zebrawszy się na Synod w 1563 r. w Mordach, na Podlasiu, antytrynitarze dali dowód, że odtąd tworzą silne, odrębne stronnictwo: 42 duchownych podpisało tam wyznanie zaprzeczające Jezusowi bóstwa. Pozostawiali jednak wyrażenie *Trójca*, aby nie odstraszać mniej śmiałych umysłów...

Zbory zorganizowały się samoistnie już w 1565 r., więc posiadły własne synody, szkoły i t. p. Mimo to brakło im jednolitości zasad, któreby się dały ująć w całość jasno określoną. Na Synodzie w Skrzynnej, 1567 r. uwydatniła się różnica między dwoma głównymi stronnictwami.

Jedno z nich uznawało istność Jezusa przed jego przyjściem na świat. Zaprzeczało atoli równości jego z ojcem i jego przedwieczności. Był to więc odnowiony dawny Arjanizm. Przewodniczył mu Stanisław Farnowski. Był on do takiego stopnia gwałtownym przeciwnikiem nauki o Trójcy, iż twierdził, że mahometanie i Żydzi nawet mają zdrowsze pojęcie o Bogu aniżeli Atanazjanie. Nadto przypuszczał że Duch św. ma istność oddzielną, lecz nie jest Bogiem ani trzecią osobą Trójcy. Oddawanie więc jemu czci uważał za niewłaściwe. Głównymi zwolennikami Farnowskiego byli: Wisnowski, Kazanowski, Żytno i Zabawska, popierający wyznawców pismami swymi i datkami pieniężnymi, szlachcic zaś Taszycki — swoim wpływem.

Drugie — odrzucało nawet istność Jezusa przed jego narodzeniem. Miało ono trzech głównych przedstawicieli, więc — trzy też główne odcienia.

Pierwszym z nich stał się wymieniony już Grzegorz Pauli. Drugi — Marcin Czechowic (1532—1613) wyłożył naukę swoją w dziele p. t. *Rozmowy christjańskie* (1575 r.). Odrzucał chrzest dzieci i pouczał, że w osobie Jezusa *nie* Bóg stał się człowiekiem, lecz *człowiek* — Bogiem. Nie istniał on przed swym narodzeniem, poczęty jak każdy inny człowiek, synem bożym został nazwany dlatego, że Bóg Ojciec, za sprawą Ducha św. już w łonie Marji przygotował go do wysokości przyszłego posłannictwa. Za co należy się mu oddawanie czci. Przełożył on Nowy Testament.

Trzeci, Szymon Budny, odmawiając Jezusowi bóstwa, odmawiał mu też i oddawawiania czci boskiej. Budny przełożył Biblję tak poprawnie i dokładnie, że zyskał pochwałę uczonych Żydów.

Tak stały rzeczy, gdy w r. 1579 przybył do Polski Faust Socin (1539 — 1604), Włoch ze Sieny, i osiadł w Krakowie. Po upływie lat czterech przeniósł się do pobliskiej wsi Pawlikowic, należącej do Krzysztofa Morsztyna, z którego córką wkrótce się ożenił. Przez małżeństwo to skoligował się z pierwszymi rodami polskimi, co mu znacznie ułatwiło rozszerzanie jego poglądów, dla których musiał opuścić swój kraj. Na Synodzie w Węgrowie utrzymał naukę o czci Jezusa. Na Synodzie w Brześciu Litewskim (1588) za jego staraniem usunięto wszelkie dzielące antytrynitarzy polskich różnice. Swe zaś własne poglądy wyłożył w dziele: *O Jezusie Chrystusie słudze* i w *Wezwaniu* do wszystkich zborów ewangielickich polskich, by się do jego przyłączyły nauki. Pracami tymi obudził Socyn gwałtowną przeciwko sobie nienawiść. Jakoż podczas pobytu jego w Krakowie, motłoch uliczny, prowadzony jak zwykle przez uczniów z Akademji, wtargnął do jego domu w 1598 r., a wywlókłszy go z mieszkania, byłby go niechybnie zamordował, gdyby go nie ocalili z narażeniem własnego życia profesorowie Wadowita, Goslicki i sam rektor Lelowita. Socyn stracił w tym pogromie cały swój księgozbiór i rękopisy. Przeniósł się następnie do Lucławic, gdzie wkrótce umarł.

Socyn Katechizmu nie ułożył, jakkolwiek miał ten zamiar. Dzieła tego dokonali Walenty Smalcius i Hieronim Moskorzewski i wydali je w Rakowie, 1605 r. (drugie w 1619; przekład niemiecki — 1608, 2-gi w 1612; przekład angielski 1652 i nowy w 1819). Odtąd polscy Arjanie noszą także nazwę *Socynjanów*.[1])

Zasady zawarte w Katechizmie rakowskim streścić można w następująeych punktach: Objawienie boże zawarte w Piśmie św. jest podstawą wiary; rozum ludzki posiada jednak wielką swobodę w objaśnianiu słów Pisma św. Bóg ojciec jest przedwieczny, niestworzony i jest stworzycielem wszechrzeczy. Jezus za życia swego na ziemi był śmiertelnym człowiekiem; stworzony jednak w żywocie matki mocą Ducha św. w szczególnym znaczeniu był jednorodzonym Synem bożym, a przez swe cierpienia i zmartwychwstanie stał się Bogiem, godzien jest przeto, by mu cześć oddawano. Duch św. jest darem, który Bóg udziela wiernym swoim.

Odrzucili też stanowczo naukę o przeznaczeniu. Chrzest uznawali za obrządek mniejszej wagi, który sam przez się nie posiada mocy odradzania ludzi; przytym mogły go skutecznie przyjmować tylko te osoby, które dokładnie pojmowały obowiązki, jakie ten obrządek na nie nakładał. Ustrój kościelny zborów podobny był do urządzeń i obrządków ogółu wyznań ewangielickich.

Czas od przybycia Socyna do pogromu szkoły rakowskiej (1579—1638), owe przeszło półwieku, można uważać za najświetniejszy okres Arjanizmu w Polsce, a tym samym wogóle w Europie.

Raków, w województwie Sandomierskim, założonym został przez kalwina Jana Sienińskiego w r. 1569. Nadał on nowoosiedlonym liczne przywileje i pozostawił im nieograniczoną swobodę religijną. Niebawem powstał tam zbór antytrynitarzy za staraniem Grzegorza Pauli. Odtąd miasto stało się ich środowiskiem. Z niego nauka ich wraz z wydawnictwami rozchodziła się nietylko po kraju całym, lecz po całej Europie. W r. 1602 założona Szkoła zdobyła tak wielką sławę, iż Raków przezwany został *Atenami Sarmackiemi*. Do szkoły tej uczęszczali nietylko arjanie, lecz i wszyscy, którzy pragnęli nauki. Kierownikami bywali uczeni Polacy oraz cudzoziemcy, cieszący się sławą europejską, jak np. Ruarus, Ostorodus, Crellius, Wiszowaty, Lubieniecki i inni... Wskutek pomyślnych warunków Raków stał się nietylko ogniskiem nauk, lecz zarówno handlu i przemysłu. Drukarnia w Rakowie wydawała dzieła nietylko teologiczne, lecz wiele naukowych i literackich.

Już Cesarz wschodni Justynjan wskazał był najlepszy sposób tłumienia nauki, w roku 529 ukazem swym zamykając ostatnią szkołę filozoficzną w Atenach. W 1538 r. nastąpił pogrom szkoły w Rakowie.

VI. Uczuwając wstręt do wszelkiego rodzaju pogromów, gwałtów, bezprawi, chociażby w formę prawa ubranych, poprzestanę na podaniu z obowiązku paru dat koniecznych dla zrozumienia obrazu historycznego.

Już na sejmie konwokacyjnym po śmierci Władysława IV r. 1648 postawiono wniosek, by prawa, przysługujące innowiercom, pozostawić tym tylko, którzy uznawali Trójcę św. W roku 1656 około trzech tysięcy włościan, z podżegania księży katolickich, napadło na miasto Sącz, niszcząc i paląc domy, mordując Socynjanów bez różnicy płci i wieku. Podobneż gwałty popełniono w Czarkowie, majątku Moskorzewskiego, i w wielu innych miejscach; w pogromach tych zniszczone zostały cenne księgozbiory Wiszowatego i Lubienieckiego.

Jak Kazimierz, zdając swoje państwo na opiekę Marji Panny, ślubował, iż uwolni włościan od ucisku i nawróci niewierzących. Jedno i drugie okazały się nad jego siły. Niewierzących łatwiej było wygnać niż nawrócić. Jakoż Sejm w r. 1658 uchwalił prawo wzbraniające pod groźbą kar surowych wyznawanie i rozpowszechnianie socynjanizmu; winni, podlegali karze śmierci. Zamierzającym wytrwać w swej wierze dano trzy lata czasu dla wyprzedania dóbr i uregulowania spraw majątkowych; na ten czas mieli zapewnione sobie bezpieczeństwo osobiste pod warunkiem, że nie będą spełniali obrządków religijnych i powstrzymają się od udziału w sprawach publicznych. Sejm z roku 1659 skrócił do lat dwuch ów termin i nakazał opuścić kraj, pod karą śmierci wszystkim, którzy nie przeszli na katolicyzm, do dnia 10 lipca 1660 r.

„I mimowoli, powiada prof. Brückner, wzrusza nas obraz owej szarej, cichej, kornej gromadki polskiej, znoszącej dla Ewangielji wszelkie urąganie, podejrzywanie, wykluczanie; wyrabiającej w sobie ową karność i tęgość ducha, jaką w najpóźniejszej próbie wykazać miała. Bo gdy po wieloletnich częściowych prześladowaniach nakoniec wszystkich arjan z kraju wygnano, nie dlatego, że zawinili, lecz tylko dlatego, że *źle* wierzyli, zaparli się oni świata i mienia i wzięli krzyż na się, choć starczyło przyjąć katolicyzm, by się przy wszystkim utrzymać. Nie wahała się większość ich porzucić kraj ojczysty i udać się na tułaczkę, a nigdzie nie liczyć na litościwe przyjęcie, jakie np. francuskich lub Salcburskich emigrantów o wiarę między współwyznawcami pewnie czekało, i litowała się nad nimi chyba śmierć, która z kilkuset ciągnących do Siedmiogrodu, a złupionych po drodze przez żołdactwo cesarskie, rychło tylko trzydziestu przy nędznym życiu zachowała..."

A oto słowa prof. Grabowskiego: „I wyszedł z kraju ten odłam dyssydentów, z których wielu odznaczało się niezwykłymi zdolnościami i kulturą umysłową. Na ich miejsce wchodziła nietolerancja, która ciskała już gromy na bronionego przez Kochowskiego

[1]) „Nazywano ich też, twierdzi prof. Brückner, ebionitami, samosatenami, focynjanami (od dawnych sekt, przeczących bóstwu Chrystusa), antytrynitarjuszami (nie przyjmującymi dogmatu o Trójcy św.), lub, szczególniej w Siedmiogrodzie, unitarjuszami (nie dzielącymi jedynego Boga na osoby), anabaptystami, nowochrzczeńcami lub nurkami (odrzucającymi chrzest niemowląt a nurzającymi dorosłych), wreszcie Socynjanami (od ich *herezjarchy*, Fausta Socyna). Nazwy pojedyńczych odłamów: budnistów, farnowjanów, pomijamy".

poetę czarnoleskiego, potym rzuciła się na nawróconego pod materjalnym przymusem Potockiego i głosiła to, co zaczął Kochowski, bardziej bezwzględnie tylko, barbarzyńsko, brutalnie. Frazes zwyciężył myśl, panegiryzm zastąpił uczoność, średniowiecze odepchnęło powiew czasów nowszych, konwencja i płytkość zapanowały niepodzielnie. Ciemnota poczęła szerzyć się tym silniej, im staranniej zacierano ślad różnic wyznaniowych, im troskliwiej pielęgnowano nieuctwo i banalność, z których wyrodziły się niemoc ducha i zwyrodnienie formy..."

Ogień rozgorzałych stosów nie chłonął w Polsce palonych Arjan, jakby to się byłoby niechybnie stało w innych krajach Europy. Pogromy jednak dwojakie, urządzane przez masy ciemne chłopstwa lub żołdactwa i, jeszcze od tamtych szkodliwsze, przez ciemnotę umysłową ludzi, ponad chłopstwem i żołdactwem stojących, uniemożliwiły istnienie nietylko samych Arjan, ale nawet płodów ich szukającego prawdy ducha, wyższego nad otoczenie umysłu. Znikły one wraz z zastępami wychodźców z przed oczu następnych pokoleń. I karta wspaniała w dziejach umysłowości polskiej została zapomniana...

* * *

Arjanizm atoli jako prąd myśli na początku ery naszej, jakeśmy to poznali, powstały, tylko czasowo, niby przypadkiem, stał się myślą polską; tylko, zawdzięczając to urządzeniom społecznym Polski, w niej wyłącznie wzrósł po swym odrodzeniu i wybujał. Zewnątrz więc Polski, zewnątrz umysłowości jej synów ma on też swe dzieje.

Czym była w wieku XVI Polska, tym w XVII stała się wyzwolona z pod jarzma niemiecko-hiszpańskiego Hollandja. *Biblioteka Braci Polskich* drukowana w niej, [1]) zawarłszy opowiadanie o Arjanach polskich i chroniących się wśród nich przedstawicieli innych narodów europejskich, stała się jedynym źródłem wiadomości o odrodzonym i powtórnie potępionym, powtórnie zanikającym Arjanizmie.

Gdy obecnie w odległości dwuch przeszło wieków i z wysokości doświadczenia, które przynosi zwykle czas, patrzymy na te wśród wszystkich okropności dziejowych jeszcze się wyróżniające swą okropnością wypadki i siebie zapytujemy, jaka była przyczyna tak dalece tragicznych losów tych wyższych nad ogół ówczesny ludzi nietylko w Polsce lecz i w całej Europie, dzieje dają odpowiedź zupełnie prostą i jasną: owo powtórne a bezpośrednie zwrócenie się do Księgi Świętej. Zwróciwszy się do niej bezpośrednio Arjanianie, w niej utknęli — bez wyjścia. [2])

Nie z wiarą bowiem lecz z nauką do Księgi tej zwracać się tylko należy.

Gdy szukający w niej sposobu zaradzenia złu społecznemu w formach owoczesnej niedoli ludzkiej na szumnych zborach i w hałaśliwych rozprawach ustnych i piśmiennnych Arjanie ostatecznie ginęli, wielki umysłem i charakterem potomek tego narodu, który ową Księgę był wytworzył, zdala od tłumów wierzących w spokojnym gabinecie mędrca samotnie jej istoty dociekał. Gdy zaś wyniki swych dociekań ogłosił był w osobnym dziele nie mniejsze w tłumach wywołał przerażenie i oburzenie na siebie, niż nienawiść, jaką był wzbudził w nich ku sobie.

Lecz stosów wzniesionych by zapłonąć z ofiarami ludzkimi już w Hollandji podówczas nie było. Mędrzec żydowski mógł spokojnie, jak żył, umrzeć naturalną swą śmiercią w swym mieszkaniu

Tym mędrcem był: Spinoza.

Tym dziełem: Traktat teologiczno-polityczny.

I. Radliński.

[1]) Bibliotheca Fratrum Polonorum wyszła w Amsterdamie (nazwanym tam Irenopolis) w 1656 r. w 8 częściach. W niej pomieścił Samuel Przypkowski życiorys Fausta Socyna. Zawarłszy w sobie oprócz utworów arjan główniejszych i ich życiorysy, stała się źródłem dla Piotra Bayle'a, gdy pisał o Arjanizmie i jego wyznawcach w swym *Dictionaire historique et critique*, jak to widać z jego częstych powoływań się na owo pomnikowe dzieło.

[2]) Zwrócić się atoli bezpośrednio do niej zmusił ich wyjątkowo światły umysł i dzielny a niezależny charakter. W tym właśnie tkwił tragizm dziejowy życia tych ostatnich ofiar sugestji również dziejowej...

LITERATURA i SZTUKA.

Piękno a krytyka.[1])

„Co do ducha waszego, bracia moi, uznaję, że ten czysty jest i najpiękniejszy na ziemi. Ale wy go już przeprowadzacie do form, już obumiera... Bracia moi, nie silcie się na eksaltację i przeciw sumieniu nie gadajcie o niczem. W imię Boga, żadnego wam fałszu nie przebaczę, żadnej w was nie czystości nie ukocham, do żadnej nie prostoty nie przyłączę się — w żadnej klątwie nie odezwę się z wami".

Słowacki

Ile razy wypadnie mi czytać oceny literackie, zawsze myśl jedna powstaje mi w głowie, że się tak bardzo, tak zasadniczo różnimy. Jakto?... więc niema stałego zdania, jakiejś, choćby chwilowej jednolitości, jakiegoś sądu zgodnego, jakiejś oceny, na którą piszą się wszyscy znawcy i miłośnicy prawdziwej sztuki? Dowcipny uczony twierdził kiedyś, że zanim przystąpimy do podziału i systematyki chorób umysłowych, musimy wpierw usystematyzować psychjatrów. Więc i tu, zanim przystąpimy do uporządkowania artystów, musimy uporządkować krytyków.

Nie może być, żeby z tych, którzy piszą oceny, nie wyłoniła się grupa ludzi innych, nieprzejednanych w miłości i w nienawiści, ludzi, co jednego tylko prawa słuchają, prawa własnego gustu.

Niepodobna uwierzyć, żeby na morzu ludzkim nie było tych wysepek, na które schronić się może piękno. Przeciwnie, prawie napewno twierdzić można, że jest nas wielu, czekających na siebie, odzywających się do siebie z oddali, poznających się po tych samych nienawiściach i upodobaniach. Byłoby źle doprawdy, gdyby wszyscy byli tego samego zdania. Błąd i głupota nieomal potrzebne się wydają, aby tym jaskrawiej świeciło zdanie trzeźwe, ale zdumiewająca jest łatwość łączenia się w chóry tanich krytyków, i wielka samotność tych, co swoimi drogami chodzą. Jeżeli czasem na kilku punktach zetkną się ze sobą ludzie podobni, jakże bolesne jest trwanie w tym zetknięciu, jak razi u rzekomych wyznawców nieprzebaczalna, niczym nie usprawiedliwiona omyłka. A natomiast jaką radością napełnia głos bratni, głos choćby różny, choćby z innych powstały porywów, ale głos, w którym słychać czyste nuty własnej niepodległej myśli.

[1]) Aczkolwiek nie podzielamy bez zastrzeżeń wszystkich twierdzeń autora, zamieszczamy w całości jego głos, „w którym słychać czyste nuty własnej niepodległej myśli". (Przyp. Red.)

Krytyka nasza rzadko bywa poważną i gruntowną. Historycy z całym balastem zebranych dokumentów muszą z konieczności być mniej więcej tego samego zdania. Nie można się różnić co do miejsca urodzenia, albo ilości wujów poety, ale i krytyka impresjonistyczna, ta jedyna mająca rację bytu podlega błędom właśnie dlatego, iż ma być wyrazem wrażenia, że nie podlega kontroli, że jest jakby wynikiem wszystkich poprzednich ocen i sprawozdań.

Lecz czyż taką istotnie jest nasza krytyka? Czy ci, co piszą, zaznajomili się naprzód z mnóstwem faktów, zebranych przez pełnych zasług erudytów? Czy mają prawo, wsparci na tym pagórku niezbitych zdarzeń śpiewać jakąś pieśń o sobie pod pretekstem dzieła, o którym mówić mają? Wielka jest liczba owych łatwych krytyków, ale widzi mi się, są oni jakby zawieszeni na wątłych skrzydłach swych upodobań i przeczuć bardzo różnego pochodzenia.

Bo jeden chwali autora za to, że wierzy w istniejący porządek społeczny, a drugi chwali dlatego, że utrzymuje on z własnej pracy matkę, a inny dlatego, że go zna osobiście, albo zna braci jego żony. Potworzyły się stowarzyszenia artystów i krytyków, akcyjne towarzystwo wydaje dzieła i pisze ich ocenę, dbając, aby harmonja istniała między wydawcą i krytykiem. Inni zgrupowali się wokoło sztandaru, dajmy na to istotnie świętego, a pozwalają wyznawcom swoich zasad pisać brednie. Oto są kategorje grup, a potym ta liczna gromada ludzi, piszących dla zyskania popularności w sferach, naecchowanych wzburzonym włosem i wysokimi kołnierzykami, albo uśmiechu wdzięcznego autora, który nie wiedział co robi, dopóki mu tego nie powiedział krytyk; mnóstwo jest tych poczciwych, którzy chwalą wszystko, czego sami nie zdołaliby napisać, albo to, co jest z zacnym zamiarem pisane.

Widzimy jak trudno w tym chaosie zdań odróżnić zdanie rozsądne, jak łatwo zasłużyć na miano zgryźliwego krytyka, kiedy się chce być tylko w harmonji ze swym zapatrywaniem i gustem.

Nie mówię umyślnie o teatrze lub koncertach, bo tam spotyka krytyka zarzut, że podkupuje instytucje publiczne, nie daje się rozwijać talentom i t. p. A przecie w ocenie teatru i jego roli stoją ci inni na zgoła różnym od nas stanowisku. Im się zdaje, że teatr jest „szlachetną" rozrywką, a nam się zdaje, że ma być radością, ma być najmilszym kształceniem, ma być źródłem pięknych wzruszeń. Im się zdaje, że teatr ma być dochodem, a my sądzimy, że teatr jest zbytkiem, na który każdy nędzarz z radością część swoją odda. Im się zdaje, że szukać trzeba *popularnych* sztuk, a nam się zdaje, że do *wyżyn* sztuki trzeba widzów *podnosić*. I powoli zapanuje w stolicy kraju farsa lub operetka, a na sobotnie przedstawienia złożą się Hamlet, Rosmersholm i Lilla Weneda.

I o talentach mówimy różnie, bo kiedy jedni chcą talent zachęcać, inni sądzą, że talentu nie uszczuplą żadne krytyki, zupełnie tak jak nie zmienią głosu artysty. Inne są zupełnie powody, dla których marnują się talenty; żaden chyba nie zginął przez brak pochwał, natomiast rozdmuchano i tolerowano dużo miernot, które nietylko same kaziły literaturę, ale drugim gust psuły, tolerowano błędy, zamiast je wytykać i pozwalano wyrastać im do wielkości szkoły.

To są wewnętrzne, etyczne motywy błędów. To są te partje literackie, grupujące się dokoła polityków pewnych odcieni.

Literatura stała się partyjną: są pisarze klerykalni i narodowi, socjalistyczni i feministyczni. Niedługo będą tacy, którzy nie będą wiedzieli, czy im *powinien* podobać się Żeromski lub Prus.

Nie chcę przez to powiedzieć, żeby nie było jednolitości w sądzie o sztuce i tych wypadkach dnia, które się mianują polityką. Owszem, gdyby „Chimera" lub „Życie" Przybyszewskiego wyraziły swe zdania o powszechnym głosowaniu, byłyby to zdania najlepsze, najdalej idące, najszersze, bo z wyżyn sztuki wydaje się wszystko inaczej—i wieczniej, i prawdziwiej. Tam nikt kłamstwa nie nazwie polityką, ani krzywdy porządkiem, bo jedna jest miara harmonji dla wszystkich uczuć i ruchów ludzkich. Tam nikt baśni promiennej wylęgłej pod słońcem ziemi świętej nie ściągnie do gabinetu rzekomego pozytywisty, gdzie na ścianach portrety Haeckla i Stuart Milla wiszą; nikt tam naiwnych szczerych wierzeń mierzyć nie będzie śmiesznym rozumem, jeno przełoży iskierkę uczucia nad stosy nabytych wiadomości, jak przekłada talent nad erudycję.

Sztuka jest bowiem najdoskonalszą etyką i etyka sztuki jest najlepszą, najtrwalszą. Cała mądrość nauki wykwita z kilku myśli, które począł artysta-uczony. Niema nic nowego prócz piękna. Ono stworzyło wszystko i tworzy zawsze, tworzy jedynie. — Rozsieli się ludzie po ziemi i stali się uczonymi i furmanami, i malarzami, i żołnierzami, ale od czasu do czasu stają się wszyscy ludźmi i to są ich najpiękniejsze chwile. Rozsiały się i sądy nasze i stały się ścisłe i naukowe, i pozytywne, i idealne, ale jak do ziemi rodzinnej wracają wszystkie po siły i zdrowie do tego, co je poczęło — do piękna.

I ten, kto w postępkach ludzkich, tak różnych i w słowach ludzkich, tak specjalnych odnajduje ten początek, jest artystą i sędzią. Ten jedynie widzi związek pomiędzy nędzą dnia powszedniego i jego lichymi koniecznościami, a chwilą radości lub rozrzewnienia. Ten dostrzega w polityce i w nauce, i w malarstwie, i w śpiewie — łatwą manierę i chłodne wyrachowanie, aby je znienawidził i napiętnował — i ten dostrzega bezwiedny a konieczny ruch, który się począł w przedwiecznym łonie piękna i jemu jedynie cześć oddaje.

Oto warunek sądu i oceny: czuć łącznik pomiędzy różnymi sprawami świata i łącznik między tworami ducha ludzkiego, poznawać tę samą siłę w teorji chemicznej i w sonacie, ten sam cud w natchnionym frazesie muzycznym i w mieszaninie farb na płótnie.

Jakież są warunki tego poznawania, tej prawdziwej oceny?... Dar, „dziwna mieszanina żywiołów", skupienie energji w pewnej formie, w pewnym miejscu, umiejętność życia wszystkimi życiami, pojmowanie dusz wszelakich. Czy się tego nauczyć nie można?... Cóż jest piękno?... Czyż to nie jest jakby uczucie, do którego przyzwyczajać się trzeba?... Czy ten cud, o którym mówiliśmy właśnie, widoczny jest odrazu i każdemu?... Napewno nie. Na czułe dusze robi nie jasne choć silne wrażenie, dla wychowanych dusz ma twarz znajomą, twarz oglądaną już dawno w marzeniach, podobną a przecie różną od twarzy, kochanych ongi. Pytać się, co jest piękno — jest pytać, co jest dusza. Jeżeli prawda, że z początkiem życia powstaje dusza, zatym wtedy powstaje i piękno. Jeżeli prawda, że dusza jest dopiero promieniem światła, który się począł w niebie i był ciepłym, zanim zajaśniał, tedy i piękno miało swe czasy rozwoju, zanim stało się tym wszechwiedzącym cudem.

(d. n.) *Wacław Moraczewski.*

NOTATKI BIBLJOGRAFICZNE.

Grudniowy zeszyt *Sfinksa* przynosi jak zwykle obfitą i bardzo różnorodną treść literacką i artystyczną. Rozpoczyna zeszyt odezwa redakcji do „Czytelników i Przyjaciół *Sfinksa*"; dalej mamy wiersz red. Wł. Bukowińskiego „Apostrofa", dokończenie dwuch powieści: Wł. Orkana „Pomór" i Jana Kleczyńskiego „Marzanna", ciąg dalszy studjum W. Gostomskiego „W kaplicy Sykstyńskiej", dokończenie „Djalogów" Marji Grossekowej, artykuł Wł. M. Kozłowskiego „Współzawodnictwo społeczne i zadania państwa", fragment dramatyczny Jana Nitowskiego „Na Olimpie", D-ra A. Chybińskiego część 2-ga (o Józefie Haydn'ie) pracy p. t. „Dwa jubileusze

muzyczne", M. Tretera „Estetyka sztuk graficznych", dokończenie opowiadania Br. Piłsudzkiego „Na niedźwiedziem święcie u Ajnów z wyspy Sachalinu". W dziale poezji utwory: H. Leśniewskiego, J. Lipińskiej, R. Kreczmara, M. Szadurskiego i A. Dzięciołowskiego. Sprawozdania teatralne Wł. Bukowińskiego i literackie Wacława Grubińskiego (o pow. „Miliony" Arcybaszewa) zamykają numer, ozdobiony rysunkami z winetami A. Ankowskiego, T. Jankowskiego, A. Kędzierskiego, St. J. Kozłowskiego, St. Minkiewicza, Z Nowaka (z „Diła"), E. Okunia, St. Popowskiego, Z. Plewińskiej, J. Rembowskiego, A. Tabińskiego, A. Wolmana i reprodukcję fotogr. fragmentu jednego z fryzów Partenonu.

Ostatni, styczniowy zeszyt *Bibljoteki Warszawskiej* zawiera treść następującą: Początek powieści Kazimierza Zdziechowskiego „Opoka", przyczynek do wyjaśnienia wpływu Krasińskiego na Słowackiego p. t. „Ze stosunków Słowackiego z Krasińskim" przez St. Kossowskiego, „Aleksander i Adam ks. Czartoryski w Londynie 1814 r." przez Eugienjusza Wawrzkowicza, „Początki odrodzenia katolicyzmu w Anglji" Konrada Ostrowskiego, „Bezrolni i Majoraty" Wł. Grabskiego, sylwetka biograficzno-literacka Roberta Hugona Benson'a („Powieściopisarz-Mistyk") pióra Andrzeja Tretiaka, szkic estetyczny Wł. Koryckiego „Naśladowanie i twórczość". W dziale przeglądu piśmiennictwa sprawozdania z książek: Szymona Askenazego „Dwa stulecia XVIII i XIX", St. Przybyszewskiego „Dzień sądu", Stefana Żeromskiego „Andrzej Radek", wreszcie wydawnictwa artyst. S. Kulikowskiego „Malarstwo polskie w odbitkach barwnych". Numer uzupełnia Kronika miesięczna, Wspomnienie pozgonne (o Cyprjanie Godebskim), Wiadomości naukowe, literackie i bibljograficzne.

TEATR MAŁY: **Schronienie**. Sztuka w 3-ch aktach Daria Niccodemi.

Pan Dario Niccodemi miał do powiedzenia Paryżanom rzecz, dla jego karjery zapewne wagi pierwszorzędnej. Chciał mianowicie swym „Schronieniem" powiedzieć, że *i on potrafi* z bylejakiej treści i bylejaką operując psychologją zbudować doskonale pseudo-głęboką sztukę, że *i jemu* nie są obce żadne arkana roboty scenicznej dzisiejszego,arcyzręcznego w maskowaniu swej banalności dramatopisarstwa francuskiego — że wreszcie, jeśli Capus jest mistrzem, to on wyzwolił się już na wcale tęgiego czeladnika, a może jest już nawet podmajstrzym.

Gdybyśmy choć na chwilę uwierzyli w konieczność interesowania się karjerą pana Niccodemi, chętnie przyznalibyśmy mu tytuł nawet mistrza w jego *metier* (zwłaszcza za akt pierwszy). W konieczność tę jednak uwierzyć nam niepodobna — więc i niepodobna zrozumieć, w jakim celu p. Zalewski postanowił nam pokazać, że i p. Niccodemi *także potrafi* i t. d. i t. d.

Widzieliśmy już przecie tyle sztuk tego gatunku w ostatnich czasach na scenach warszawskich. Widocznie jednak dyrektor teatru Małego przypomniał sobie gadkę o czapli i o desce. „Powiedzieć wam jeszcze?"... „Powiedzieć"—odparło *echo*, które wzięto za głos publiczności (mam o niej mimo wszystko lepsze wyobrażenie, niż p. Zalewski).

Więc usłyszeliśmy, że można świetnie (dla oszczędzenia matki) udawać przez cały prawie akt zaciętego odludka, a potym wyznać, że komedję tę wywołała zdrada żony, *komedję*, bo kocha się już inną kobietę, narzeczoną człowieka, który uwiódł żonę; dowiadujemy się dalej, że można *zakochać się* przez zemstę, a potym *pokochać* naprawdę. Gerard de Volmières wyznaje to swej żonie po doskonałej scenie, w której pani de Volmières z wielką bezczelnością i perfidją skarży się na zaniedbanie jej przez męża *bez żadnej z jej strony winy*. Niestety, wina była, i mąż wie o niej oddawna. Bawiąca z rodzicami u pp. de Volmières panna Dora Lacroix staje się ofiarą owej *zemsty* Gerarda. Dowiaduje się o tym od swego narzeczonego, zrujnowanego panicza de Saint-Airau, który ze względu na wysoką cyfrę posagu Dory gotów jest *oszczędzić pannie skandalu* i przyjąć złote jabłko, choćby *un peu piquée*. Niestety, Gerard ani myśli teraz rozłączyć się z Dorą, którą kocha. Biedna dziewczyna nie chce temu wierzyć, uważa się wciąż jedynie za objekt jego odwetu—sytuacja staje się naprawdę *dramatyczną*, co w mniemaniu p. Niccodemi e tutti quanti jest w złym guście w sztuce z XX wieku.

Autor ocala przeto *dobry smak* niespodzianą skruchą i szlachetnością (?) pierwotnej winowajczyni: Julja, żona Gerarda przekonywa Dorę, że mąż jej naprawdę ją kocha. Widnokrąg rozjaśnia się. Spada nam kamień z serca. Julja i Gerard rozwiodą się, Gerard i Dora pobiorą się, Julja... no, Julja, miejmy nadzieję, pocieszy się wkrótce z którym ze sportsmenów, goszczących w pałacu pp. de Volmières.

Wystawienie „Schronienia" pozostawiało sporo do życzenia, z czego jednak szczupłość sceny i środków poczęści reżyserję rozgrzesza. Co do obsady ról głównych, nie uważam za szczęśliwe powierzenie roli Julji pani Pytlińskiej. Talent jej najwłaściwsze, mym zdaniem, znajduje ujście w kreacjach istotnie dramatycznych, a szczególnie w sztukach, nasyconych atmosferą tajemniczego, złowrogiego niepokoju; w „Schronieniu" realizm jej gry czynił wrażenie przymusu. Pan Kuncewicz bardzo inteligientnie traktował rolę Gerarda, posiadał sporo wytworności w grze, zaciętość wyrazu maski wpadała jednak chwilami w manierę. Rola Dory (jedyna szczerze dramatyczna w sztuce) wymaga artystki bardziej doświadczonej i wyrobionej scenicznie, niż pani Bończa — wskutek czego całość roli wypadła dość niejednolicie. Słowo uznania i zachęty należy się p. Mili Kamińskiej za jej szczerość i naturalność gry w niewielkiej roli młodszej siostry Dory oraz p. Ceremużyńskiemu, który choć jako majordomus pp. de Volmières dał zamało francuski typ, w miarę był dyskretny i służbisty.

Wacław Rogowicz.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* „Pokłosie" w styczniowym numerze *Kultury polskiej* przyniosło nam cały snop interesujących spostrzeżeń i dowcipnych uwag. Z powodu nieustającego młynkowania „kwestji żydowskiej" czytamy tam:

> Przedewszystkim chodzi o sensację (w Galicji o senzację), o donośny krzyk albo — mówiąc najnowszym stylem — o „piękny giest". Wszystkie te sensacje, krzyki i piękne giesty warte są dla opinji społeczeństwa najwyżej funt kłaków, ale dogadzają naszej pobudliwej, histerycznej i aktorskiej naturze.

Poważnie zastanawiać się nie lubimy, a nadewszystko nie możemy dłuższą chwilę:

> Gdyby zjawił się prorok, któryby ściśle przepowiedział, co się z nami stanie za lat sto, albo gdyby nagle spadła między nas jakaś istota, którаby chciała odsłonić tajemnice przestrzeni poza kresem systematu słonecznego, nie radziłbym im występować w Warszawie tego wieczora, kiedy ma być przedstawiona po raz pierwszy bardzo tłusta operetka. Przyszłoby bowiem na to objawienie 20—kobiet.

Mężczyzni nie są ciekawi i żądni wiedzy. Gdy wysłuchali ostatniego wykladu i zamknęli ostatnią książkę na uniwersytecie, czują się tak strasznie obciążeni naukę, że potym starają się tylko zmniejszyć jej brzemię, ażeby lżejszym krokiem biedz po drodze karjery.

I w dalszej charakterystyce naszych płytkich i krzykliwych „nastrojów", taniej i bezceremonialnej blagi podnosi zasłonę z niewstydliwej pustki jałowych dusz naszych.

Gdy umarł Wyspiański, słyszeliśmy ciągle: „miałeś chłopie złoty róg!" albo czasem dla odmiany: „panowie nie chcom chcieć"; dwa te wyrażenia powtarzano bezustannie w artykułach, książkach, mowach publicznych. Tak one nas zmordowały, że ujrzawszy gdzieś tytuł: Wyspiański — posuwaliśmy pod nim oczy z lękiem i nadzieją, że może nie spostrzeżemy tych prześladowczych słów. Daremnie! po kilku wierszach wysuwało się: „miałeś chłopię złoty róg" i „panowie nie chcom chcieć". Podobną piłę zrobiono ze Słowackiego. Przed laty 30 wprowadzono go z dewizą: „jeśli gryzę, to sercem gryzę"... Obecnie wybrano inny frazes: „niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec". Gdzie go niema. We wszystkich studjach o Słowackim, pocztówkach, prospektach, ogłoszeniach, a wkrótce ozdabiać będzie reklamy przedsiębiorstw pogrzebowych. O czym to świadczy? Naprzód o tym, że my lubimy pozy i procesje z godłami na chorągwiach, a następnie, że tych czczonych poetów nie zna wielu z tych, którzy ich może najgłośniej sławią. Gdyby znali, wydobyliby z ich pism coś więcej, niż jedno zdanie.

Niestety, kabaretów, iluzionów mamy dużo, Słowackiego zaś tylko jednego i niezbyt wesołego w dodatku.

* Znowu polały się słowa pełne wysokiego nastroju po kartach *Świata*, z pod pióra p. Tadeusza Nalepińskiego. Źródło ich wytrysło w Paryżu, pod wpływem żalu, że wnuki sławnych dziadów, zdobywszy obiecaną im przez Henryka IV kurę w garnku — zapomnieli o wszystkim innym.

Nie, doprawdy — czytamy tam — tylko u nas w Polce wiecznie zmartwychwstawa Duch, zabity na Zachodzie przez proletarjusza w aksamitnej kamizelce o tombakowym łańcuszku, przez pruskiego junkra lub szwajcarskiego fabrykanta czekolady. Tylko u nas dokonywa się pewna praca nieustanna, podziemna, nad przekuwaniem grot dla rozbicia namiotów, w którychby życie przestało być rozpamiętywaniem własnej chwały, lub cudzych grzechów. Bez idealizmu szczerze wyznaję, że wolę nasz brak kultury, wolę nasze pustkowia, *tubulam rasam* — od pysznej i opasłej, przekwitłej za Ludwików w pąki dekadenckiego gmachu, skażonej u źródła — kultury gallijskiej. Nie spodziewam się bowiem od niej już prawie nic, z wyjątkiem może nowych rewelacji w malarstwie. Ale gdy wsłuchuję się w rytm ogólny życia, w tętno organizmu sytego „drabinkarza" (tak górale nazywają dorobkiewiczów) radość i duma mię ogarnia, że nie jestem Francuzem XX wieku.

A więc, zgniły Zachód! Słyszeliśmy to już na Wschodzie. A ile w tym krzyku jest niesprawiedliwości i pychy „drabinkarza", ten pojmie, kto nie zamyka oczu na wielką, wszechludzką, bezcennymi ofiarami opłaconą pracę dla kultury i szczęścia człowieka — właśnie na tym Zachodzie.

* Wydział krajowy w Galicji dla uprzemysłowienia tej prowincji zamierza założyć Bank przemysłowy akcyjny. Pieniędzy mają dostarczyć w równym stosunku Niemcy i Polacy. Z powodu tego dopuszczenia Niemców zaprotestował gorąco dziennik morawski *Morawska Orlica*, których głos przytoczył *Kur. warsz.* Niemcy, wołają one, opanowali już kopalnie węgla pod Krakowem. A teraz nowe niebezpieczeństwo. Czyż Polaków nie stać na popieranie swego przemysłu własnymi siłami?

Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że kapitaliści niemieccy opanowaliby przedewszystkim okolice, nadające się najlepiej do zaprowadzenia przemysłu, a galicyjscy udziałowcy, dzieląc się z nimi zyskami, osłabialiby swoje stanowisko; galicjanie byliby stale spychani na drugi plan.

...Jest to nieszczęsną, fatalną pomyłką, jeżeli inicjatorowie tej myśli mniemają, że będą mieli polski Bank przemysłowy i polski przemysł, skoro wejdą w łączność z przedsiębiorstwem finansowym dolnoaustryjackim. Jeżeli się dopuszczą tego fatalnego błędu, napłynie moc niemieckiego robotnika do gmin galicyjskich, ziemia polska będzie przechodziła do rąk niemieckich właścicieli, powstaną na niej kolonje niemieckie. To samo, przeciw czemu burzy się każda kropla krwi patryjotycznej polskiej, gdy się to dzieje w Wielkopolsce pod naciskiem siły nieprzyjaznej, to samo będzie się działo w Galicji za dobrowolną zgodą i ze współdziałaniem polskich czynników. Polacy w Galicji winni to rozważyć należycie, że każda drużyna niemieckich robotników, każdy dyrektor i majster fabryczny Niemiec oznacza niebezpieczeństwo narodowe.

KRONIKA.

POLSKA SZKOŁA NAUK POLITYCZNYCH. W pierwszych dniach stycznia r. b. odbyło się w Krakowie pierwsze walne zgromadzenie członków Towarzystwa Polskiej Szkoły Nauk Politycznych. Po zdaniu sprawy z czynności przygotowawczych przez prof. Rostworowskiego, dokonano wyborów zarządu głównego i komisji kontrolującej. Do Zarządu głównego weszli profesorowie: Rostworowski (prezes), Jaworski (vice-prezes), Kutrzeba (sekretarz), Michalski (skarbnik), Czerkawski, Starowieyski, Ulanowski. Komisję kontrolującą tworzą: poseł St. hr. Badeni, prof. Bujak i prof. Estreicher. Szkoła nauk politycznych, zakładana obecnie w Krakowie z inicjatywy profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej, jak donoszą pisma codzienne, ma mieć w znacznej mierze charakter wykładów uzupełniających dla słuchaczów prawa. Wykłady teoretyczne mają być ograniczone do minimum i główny nacisk ma być położony na nauczanie dogmatyczne w zakresie obowiązującego prawodawstwa polityczno-administracyjnego, oraz polityki ekonomicznej i opisu ustrojów gospodarczych w Galicji, Królestwie i Poznańskim. Ustroje polityczne i społeczno-gospodarcze Zachodu wykładane nie będą. Nadto, o ile sądzić można z doboru sił profesorskich, nowo powstająca szkoła prowadzona będzie w duchu konserwatywnym.

UŁASKAWIENIE. Zabójcy Hercenstejna, Juśkiewicz — Kraskowskij i Połowniew, skazani na sześcioletnie więzienie przez sąd powiatowy w Küweneppe, zostali ułaskawieni. Obrońca skazanych, związkowiec adw. przys. Bułacel, — jak pisze *Now. Wr.*, nie mając zaufania do bezstronności sądów finlanckich, zaraz po wyroku zrzekł się odwołania do wyższej instancji w Finlandji i bezzwłocznie wniósł prośbę o ułaskawienie. Związek narodu rosyjskiego wzywa do składek na ułaskawionych; czyni przygotowania do uroczystego ich przyjęcia, uważając obu za bohaterów narodowych.

NOWY ROK W PRASIE ŻARGONOWEJ. Wszystkie pisma żargonowe w Warszawie wydały numery noworoczne d. 14 stycznia r. b. Nacjonalistyczne organy żydowskie ignorują nietylko kalendarz gregorjański, używany w życiu codziennym przez żydów miejscowych, ale i erę żydowską, rozpoczynającą rok 18 października. Dla nich narodowym, prawdziwie żydowskim jest kalendarz juljański.

STUDENCI UNIWERSYTETU. W dniu 14 b. m. na Uniwersytecie Warszawskim było zapisanych 1,270

studentów, w tym na wydziale prawnym 541, lekarskim 302, hist.-filologicznym 291, fizyko-matematycznym 135. Katolików było 83, ewangielików 28, ormian 5, mahometan 1, staroobrzędowców 1, żydów 120; reszta prawosławni. Według wykształcenia było 828 seminarzystów, 10 realistów, 5 kadetów, 2 marynarzy, 6 eksternów i zaledwie 419 maturzystów szkół średnich.

NIEWŁAŚCIWE WYRAŻENIE. Jak donosi *Swob. Słowo*, niedawno adw. przys. Ch., w mowie obrończej w izbie sądowej warszawskiej, użył wyrażenia: „podczas prześladowania unitów". Członek referent zwrócił uwagę przewodniczącego, iż podobne wyrażenia nie są dozwolone w mowach obrońców, wobec czego adwokatowi udzielono monitu, prosząc go o cofnięcie tych wyrażeń. Adwokat odmówił, nie znajdując w tych słowach nic występnego. Skutkiem raportu członka referenta (ani sędziowie, ani prokurator nie protestowali) zajście to rozważano na ogólnym zebraniu wydziałów sądu okręgowego warszawskiego, które uznało użyte przez adwokata wyrażenie za niewłaściwe i postanowiło udzielić mu ostrzeżenia w drodze dyscyplinarnej.

Z USIŁOWAŃ NACJONALISTÓW ŻYDOWSKICH. Istniejące w Warszawie Stowarzyszenie lokatorów przyjmuje członków bez różnicy wyznania. Należy też do niego wielu żydów, nawet kapotowych. Ale nie podobało się niektórym „litwakom", że na posiedzeniach stowarzyszenia obrady toczą się w języku polskim. Z ich inicjatywy odbyło się w tych dniach w lokalu „Hazomiru", za pozwoleniem władz zebranie, na którym wybrano komisję organizacyjną, mającą opracować ustawę separatystycznego „Żydowskiego związku lokatorów". Do komisji tej wybrano znanych działaczy litwackich i kilku żydów miejscowych. Przy zagajeniu zebrania uczczono przez powstanie pamięć „cadyka" — cudotwórcy z Aleksandrowa i rabina z Kowna — by pociągnąć za sobą ciemniejsze żywioły z pośród żydów miejscowych. Trzeba przypuszczać — pisze *Nowa Gazeta* — że związek ten albo nie przyjdzie zgoła do skutku, albo ograniczy się do garstki żywiołów, demonstracyjnie hołdujących „litwacyzmowi".

SPÓŁKI WŁOŚCIAŃSKIE. Pisma codzienne podają kilka ciekawych faktów z rozwoju spółek wśród włościan. We wsi Dobrogoszczy, gminy Topola, powiatu Łęczyckiego kilkunastu gospodarzy zawarło spółkę rzeźniczą. Skupują oni po wsiach i miasteczkach okolicznych trzodę i bydło, szlachtują i sprzedają po znacznie niższych cenach niż w mieście.

Uczestnicy wycieczki włościańskiej z Makowa pow. Lipnoskiego zorganizowali spółkę mleczarską. Spółek takich istnieje już kilka, a jedna z nich wzięła I nagrodę na konkursie Ziemiańskiego Tow. Mleczarskiego.

SRODKI UTRZYMANIA SĄDOW GMINNYCH. W referacie, odczytanym na posiedzeniu sekcji ekonomiczno-społecznej i prawa państwowego Tow. Prawniczego, p. Wład. Grabski wykazał, że od 1888 r. do 1908 skarb otrzymał w postaci zasiłku na pokrycie wydatków na sądy gminne o 1,133,354 ruble więcej, niż w tej mierze wydatkował, dzięki temu, że wbrew wyraźnemu brzmieniu prawa nie była zaprowadzona specjalna rachunkowość i określony sposób przechowywania sum pozostałych z opłat gmin na sądy gminne. Referent uważa za konieczne podjęcie starań: 1) o utworzenie osobnego funduszu z przewyżek zasiłków od gmin na sądy gminne pobieranych nad wydatkami na ten cel, 2) o powiększenie uposażenia funkcjonarjuszów w sądach gminnych, 3) o zmniejszenie zasiłków ze strony gmin dla skarbu na utrzymanie sądów gminnych pobieranych do normy właściwej.

7,000,000 DLA CHŁOPA POLSKIEGO. Prawo propinacji na ziemiach, otrzymywanych przez włościan *będąc częścią prawa własności*, brzmi art. 17 ukazu 1864 r., oddane zostaje gromadzie włościańskiej, tylko dochody, otrzymywane z tego prawa, obracane będą na zwiększenie środków funduszu likwidacyjnego. Na skutek tego, do chwili wypłacenia przez skarb należności za grunta uwłaszczone, otrzymywanie dochodów propinacyjnych na gruntach uwłaszczonych będzie administrowane przez skarb. Po ukończeniu zaś likwidacji, propinacja na gruntach uwłaszczonych powróci do gromady, jako jej własność. W myśl tego prawa, na mocy którego skarb otrzymał w okresie lat 1867 — 1888 na cele likwidacyjne kilkanaście miljonów rubli, równocześnie ze zniesieniem propinacji i wprowadzeniem w Królestwie skarbowej sprzedaży trunków na mocy uchwały Rady Państwa Najwyżej zatwierdzonej d. 39 kwietnia st. st. 1896 r. polecono w III rozdziale powyższej uchwały ministrowi finansów bezzwłocznie przedstawić Radzie Państwa wniosek o wynagrodzeniu za stratę dochodów z propinacji miejskiej. Ministerjum Skarbu nie wykonywa jednak tej uchwały w ciągu lat 13 i dopiero 16/29 listopada 1909 złożył p. Kokowcew Dumie wniosek o odmówieniu wynagrodzenia za propinację wiejską w Królestwie. Rostrzygnięcie tej sprawy w myśl wniosku ministra finansów byłoby ciężką krzywdą dla chłopa polskiego. Przeciętny dochód z prawa propinacji na gruntach włościańskich wynosił 350,000 rubli rocznie, czyli zgromadzenia gminne wiejskie powinnyby otrzymać obecnie wynagrodzenie w ilości co najmniej 7 miljonów rubli. Tyleż podobno wypadałoby zapłacić i właścicielom większym. Argumenty prawa i odmowy wynagrodzenia nie wytrzymują najlżejszej krytyki. To też nawet w osobnej komisji złożonej wyłącznie z urzędników, zwołanej przez ministra skarbu w marcu 1908 r. znalazła się poważna mniejszość, przeciwna takiemu załatwieniu sprawy. Zaznaczyć należy, że na konferencji przedstawiciel jenerał-gubernatora warszawskiego popierał wniosek przyznania wynagrodzenia za propinacje i z politycznego punktu widzenia, dowodząc że wypłata włościanom wynagrodzenia za propinację przyczyniłaby się do uspokojenia ludu wiejskiego i wykazałaby bezzasadność agitacji socjalistyczno-ludowej, która zwykle zarzuca rządowi, że nie spełnia ustaw i krzywdzi ludność materjalnie.

NOWA INSTYTUCJA PEDAGOGICZNA. Zarząd Koła matemat.-fizycznego w Warszawie podaje do wiadomości publicznej, że przy kursach mat.-fiz., przez Koło prowadzonych, otwarta została pracownia fizyczna w lokalu Koła, Bracka 17 (Uranja). Pracownia ta ma na celu ułatwienie uczącym wypróbowywania metod doświadczalnych w nauczaniu fizyki, oraz umożliwienie uczącym się wykonywania własnoręcznie prostych, a pouczających doświadczeń z zakresu fizyki. Opłata dla pojedyńczej osoby wynosi 6 rb.; dla większych kompletów — zniżona. Można też z pracowni fizycznej korzystać jednorazowo. Wykładający fizykę mogą ćwiczenia w pracowni fizycznej wypróbowywać bezpłatnie. Bliższych informacji, dotyczących korzystania z pracowni fizycznej, udziela się w lokalu jej codziennie od g. 5 — 7. Tamże przyjmuje się zapisy na ćwiczenia. Zwiedzać pracownię można codziennie od g. 5 — 7, korzystać z niej można w dowolnych godzinach dnia, zależnie od umowy.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów od następujących pracowników T-wa Nikopol.-Mariupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, T. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, I. Kleinsznek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 1, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2, J. Woroszyłło kop. 50, A. Kozikowcki rb. 1, C. Padarewski kop. 50, I. Mierzyński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1, J. Rajski rb. 1 ,A. Prokopowicz kop. 50, L. Czaykowski rb. 1, A. Misiewski rb. 2, W. Lenk rb. 1. Ogółem rb. 53.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 11—1 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.